

AŁFRONT

kwartalnik literacko-artystyczny

Nr 3(3)
2017

ISSN 2544-3070



POEZJA

Spis treści

P o e z j a

I Ogólnopolski Konkurs Poezji im. Pabla Nerudy.....	3
Noty autorów części poetyckiej	4
W(y)stępniak	7
Jacek Podsiadło – „Świat gotowy na wszystko”, „Liryka i druk”, „Ślepe zwierciadło”, „Wstyd to bezwstyd”, „Włos”	8
Dorota Ryst – „podróbkę”, „takiego lata”, „słowo na niedziele”, „zapominanie”, „plama”	13
Małgorzata Południak – „O wychwalaniu”, „O nocy”, „O dotyku”, „System ulic”, „O snach”, „O wiatrakach” ...	15
Marta Jurkowska – „Misterium”, „Rodowód”, „Scheda”, „Pieśni błagalne”, „Pieśń o zagubionym mężczyźnie”, „W poszukiwaniu wiary”, „Zmiana czasu”	18
Marie Iljašenko – „Osip podąży na południe” (fragmenty): „Młynek do kawy”, „Pieśń nad pieśniami”, „Osip spotyka Matyldę”, „Poprzednie życie”, „Pojedźmy w Karakorum”, „Osip podąży na południe” (tłum. Zofia Bałdyga)	22
Pavel Řežniček – „Co wisi”, „Lekcja języków obcych”, „Tylko kilka zwierząt potrafi gwizdać na palcach ja do nich nie należę”, „Złoże boksytu”, „Podręcznik filozoficzny”, „Kadawer”, „Poczekajcie dam wam swój paznokieć” (tłum. Jan Faber i Franciszek Nastulczyk)	26
Ryszard Smolak – „Impromptu w tonacji niemal tropikalnej”, „Phallus impudicus”, „Jabłko strącone Twoim pocałunkiem”, „Nasza umiejętność uciekania od siebie”, „Noc bez Pegaza”, „Żałość”	31
Jacek Kowalski – „Chińska litera”, „Dzień – noc, w Pesach”, „Mu!”, „Nieodróżnialna, niczyja?”, „Prawdziwa historia, w podskokach”, „Tak powiedzą”	35
Waldemar Jocher – „łącznik”, „homo quarens”, „membrana”	39
Mirosław G. Majewski – „Ogród rozkoszy ziemskich”, „Pielgrzym z Ur”, „Dzambia”	41
Damian Dawid Nowak – „Farsa”, „Drugi brzeg”, „Treściwe pożegnanie”, „Przy pomocy życia fit”, „Gry i zabawy”, „Milleniali”	43
Kamil Pietrzyk – „5. Formuła Eden”, „8. Hejtowanie śmierci”, „9. Histeria najnowsza”, „23. Recytacja”, „43. W chwaście wieku”, „47. Dobre pochowanie”	45
Mariusz S. Kusion – „Błąd w sztuce”, „Wsteczne przestrzenie”, „Niezbędnik”, „kwaśnEgo”	47
Tadeusz Zawadowski – „ARMIE OŁOWIANYCH ŻOŁNIERZYKÓW”, „GRY WOJENNE”, „KRAJOBRAZ PRZED BITWĄ A MOŻE WOJNĄ”, „SIEDZĘ NA TARASIE I CZYTAM KACPRĄ PŁUSĘ”, „JESZCZE NIE MA WOJNY”, „ZABAWY Z OGNIEM”, „A JEŚLI CHRYSZTUS POWRÓCI”	49
Janusz Radwański – „Dawid country”	53
Agata Cichy – „szkic o unik”	54
Jarosław Nowosad – „Projekt metafizyczny” (Marek K.E. Baczewski <i>Projekt „Orfeusz”</i>)	57
Jerzy Alski – „Philip Marlowe – powiedzmy. O poezji Sławomira Płotka	59
Jarosław Nowosad – „Dramat daremności” (Petr Hruška <i>Darmaty</i>)	62
Janusz Radwański – „Zenon Kałuża wyjaśnia, gdzie jest Wolny Tybet i dlaczego nie będzie innego” (Radosław Wiśniewski <i>Dzienniki Zenona Kałuży</i>)	64
Jarosław Nowosad – „Ocalić biel” (Izabela Kawczyńska <i>Linea nigra</i>)	66
Piotr Gajda – „Nieuniknione objawy wtórne” (Bogdan Prejs <i>objawy pierwotne</i>)	70
Michał Domagański – „List (nie)otwarty do Marcina Orlńskiego w sprawie zażywania Środków doraźnych”	73
Rafał Gawin – „Recenzje graniczne”	76

Regulamin Ogólnopolskiego Konkursu Poezji im. Pabla Nerudy

Ogólnopolski Konkurs Poezji im. Pabla Nerudy ma na celu promowanie ponadczasowej twórczości Pabla Nerudy w Polsce oraz zachęcenie do podejmowania aktywności artystycznej (poetyckiej) poprzez tworzenie i czytanie poezji w ogóle.

Uczestników prosimy o nadesłanie zestawu 3 wierszy niepublikowanych w wydawnictwach zwartych (książki, czasopisma) i nienagradzanych w innych konkursach, o dowolnej tematyce, w 3 identycznych zestawach. Utwory powinny być opatrzone godłem (pseudonimem). W osobnej kopercie, również z tym samym godłem, należy umieścić dane autora – imię, nazwisko, adres mailowy, numer telefonu, krótką notkę biograficzną.

Uwaga: obowiązuje opłata konkursowa w wysokości 20 zł. Pieniądze prosimy wpłacać na konto Fundacji Kultury AFRONT: Bank Pekao SA 08 1240 4966 1111 0010 7028 1339 (z zaznaczeniem: „Opłata za konkurs im. P. Nerudy”). Nieuiszczenie opłaty i przysłanie zestawu nieregulaminowego powoduje jego dyskwalifikację. Kopię dowodu opłaty konkursowej należy dołączyć do koperty z danymi osobowymi.

- Zgłoszenia prosimy wysyłać na adres: Fundacja Kultury AFRONT, ul. Wiśniowa 7A, 32-332 Bukowno.
- Termin nadsyłania zestawów to 30 kwietnia 2018 roku (decyduje data stempla pocztowego).
- Niespełnienie któregokolwiek z ww. warunków jest równoznaczne z nieuwzględnieniem zestawu w konkursie.
- Nadesłane zestawy nie będą zwracane.
- Uczestnicy konkursu wyrażają zgodę na przetwarzanie swoich danych osobowych w zakresie koniecznym do prawidłowej współpracy z Organizatorem, zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 o ochronie danych osobowych (Dz. U. z 2015 r. poz. 2135).

Jury w składzie: Karina Stempel, poetka, filolog i tłumacz, oraz Iwona Młodawska-Watson, poetka, filolog i tłumacz, po wnikliwym zapoznaniu się z treścią nadesłanych zestawów i obradach wybierze laureata i maksymalnie dwóch autorów wyróżnionych. W tegorocznej edycji konkursu, a także w kolejnych edycjach zasiądzie również trzecia osoba, którą każdorazowo będzie inny, zaproszony poeta.

Laureat oraz autorzy wyróżnieni zostaną powiadomieni telefonicznie i mailowo.

Nagrody w wysokości :

- 1 miejsce – 500 złotych
- 2 wyróżnienia – po 200 złotych

zostaną rozdane podczas finału I OKP im. Pabla Nerudy, który odbędzie się w Olkuszu, w maju lub czerwcu 2018 roku (dokładny termin i adres podane zostaną później). Organizatorzy nie ponoszą kosztów dojazdu autorów.

Nagrodzone i wyróżnione wiersze opublikowane zostaną na łamach kwartalnika literacko-artystycznego „Afront”.

Gala będzie wydarzeniem otwartym, serdecznie zapraszamy wszystkich miłośników poezji do wzięcia udziału w tym wydarzeniu.

Dodatkowe informacje można uzyskać na stronie Fundacji Kultury AFRONT: www.afront.org.pl

A u t o r z y > P o e z j a

Zofia Bałdyga

Urodzona w 1987 r. w Warszawie. Autorka tomików *Passe-partout* (Warszawa 2006), *Współgłoski* (Nowa Ruda 2010) oraz *Kto kupi tak małe kraje* (Warszawa 2017). Współtworzyła poetycko-muzyczny projekt „Elektroliryka”. Absolwentka Instytutu Slawistyki Zachodniej i Południowej UW. Tłumaczka młodej poezji czeskiej i słowackiej. Prowadzi fotobloga The Pickets (www.thepickets.net).

Agata Cichy

Poetka, aktorka, malarka. Urodzona w Bochni. Od prawie 30 lat mieszka i pracuje w Tychach. Debiutowała w Almanachu *Mysli w słowach zapisane*, (Wydawnictwo Małe z Krakowa, 2010). W maju 2013 r. wydała Album poetycki – *Uśmiech sennego słońca* (Wydawnictwo i Drukarnia Diecezjalna z Sandomierza). Jej wiersze i grafiki ukazały się m.in. w Almanachach Wydawnictwa św. Macieja z Tarnowskich Gór, w Antologiach grupy poetyckiej WARS i w *Listach z daleka*, Czasopiśmie Ogólnosiwiatowego Korespondencyjnego Klubu Emigrantów oraz w *Mega*Zine Lost & Found* (free online art magazine). W 2013 r. zdobyła I miejsce w drugiej edycji i w 2015 r. III miejsce w czwartej edycji Konkursu Jednego Wiersza organizowanego przez SDK Tęcza w Tychach. Uczestniczka Tyskich Dni Literatury w 2015 r., wystaw zbiorowych STK Tychy i indywidualnych.

Marie Iljašenko

Urodzona w 1983 r. w Kijowie, pochodzi z rodziny o polskich i czeskich korzeniach. Wychowała się w mieście Police nad Metují (Czechy). Studiowała filologię rosyjską i komparatystykę. Tłumaczy z rosyjskiego, ukraińskiego i polskiego. Autorka zbioru wierszy *Osip podąża na południe* (*Osip miří na jih*). W Polsce jej wiersze w tłumaczeniu Zofii Bałdygi były publikowane na łamach „Odry” i kwartalnika „FA-art”. Mieszka w Pradze. Publikowane w niniejszym numerze AFRONTU wiersze są częścią cyklu *Osip podąża na południe*.

Waldemar Jocher

Urodzony w 1970 r. Laureat Nagrody Poetyckiej im. Kazimierzy Iłakowiczówny 2010 za najlepszy debiut poetycki roku za tomik *Reszta tamtego ciała*. Laureat Nagrody Otczaka 2015 za tom *Przetrwalnik*. Laureat projektów (Biuro Literackie) „Poeci na nowy wiek 2009” oraz „Odsiecz 2013”. Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w dziedzinie literatura. Publikował m.in. w „Nowej Okolicy Poetów”, „Odrze”, „Toposie”, „Tyglu Kultury”. Wydał: *Reszta tamtego ciała* (Instytut Mikołowski, Mikołów 2009), *Przetrwalnik* (Hub Wydawniczy Rozdzielczość Chleba, Kraków 2015). Mieszka w Prudniku.

Marta Jurkowska

Poetka i malarka. Debiutowała w 2011 r. tomikiem *Poza ramy* (Wydawca Galeria Literacka BWA Olkusz). Publikowała we „Frazie”, „Cegle”, „Okolicach Poetów”, „Szafie”, „Gazecie Śląskiej”, „Toposie” i wielu antologiach pokonkursowych. W 2016 r. wydała tom wierszy *Miedzy rzeką a lasem*. Mieszka w Olkuszu.

Jacek Kowalski

Urodzony w 1959 r. Poeta, germanista, bibliotekarz, tłumacz. Tłumaczył m.in. publikacje z zakresu religioznawstwa, krajoznawstwa, bibliologii, poezji. Autor ośmiu tomików poetyckich, ostatni pt. *Kilwáter Holendra* ukazał się w 2013 r. nakładem wydawnictwa Dr Lex. Publikował m.in. na łamach „Toposu” oraz izraelskiego kwartalnika literackiego „Psejfas”. Jego wiersze tłumaczone były na język szwedzki, chorwacki, hebrajski, niemiecki. Związany ze środowiskiem krakowskiego teatru „Stygmaty”, mieszka i pracuje w Krakowie.

Mariusz S. Kusion

Publicysta, poeta, animator kultury, działacz organizacji pozarządowych, trener nauki. Ukończył studia w UJ na kierunkach prawo i stosunki międzynarodowe. Autor publikacji naukowych oraz popularnonaukowych z zakresu obu dziedzin swojego wykształcenia. Publikował w wydawnictwach pokonkursowych, na poetyckich pocztówkach, w antologiach i pismach literackich „Szafa”, „Protokół Kulturalny”, „Migotania”, „PKPzin”, „Lamelli”, „Okolica Poetów”, „2 miesięcznik. Pismo ludzi przełomowych”, „Wobec” - miesięcznik społeczno-kulturalny i „Журнал Всесвіт” (Kijów). Tłumaczony na język angielski, włoski i ukraiński. Zadebiutował w 2015 r. tomem *Zarządzanie zasobami emocjonalnymi*.

Mirostaw G. Majewski

Urodził się w 1961 r. Prozaik, dramaturg i poeta. W Polsce miał się różnych zajęć, był robotnikiem w fabrykach i na budowach, prowadził własną działalność gospodarczą, był listonoszem i agentem ubezpieczeniowym. Następnie pracował w Anglii, Austrii, Grecji, Niemczech i Norwegii. Debiut poetycki w „Wiadomościach Kulturalnych” w 1996 r. Powieści: *Performance* (2009), *Asymetria albo galimatiasy rzeczywistości* (2015), *wpływ księżycy* (2016). W 2011 r. atelier teatralne Scena na Lwowskiej wystawiło jego sztukę *Upside down*. Mieszka w Olkuszu.

Franciszek Nastulczyk

Urodził się w 1957 r. w Bystrzycy nad Olzą. Absolwent Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, gdzie studiował także filozofię. Mieszka i pracuje jako nauczyciel w Bielsku-Białej. Poeta, tłumacz literatury czeskiej i słowackiej. Drukował w licznych almanachach i antologiach oraz w polskiej, austriackiej, czeskiej, słowackiej i słoweńskiej prasie literackiej. Członek zespołu redakcyjnego kwartalnika literacko-artystycznego „Pobocza”. Wydał zbiory poezji: *Tam za pozornie przezroczystym powietrzem* (Czeski Cieszyń 1993), *Czas i obecność* (Czeski Cieszyń 1994), *Ćmy i inne wiersze* (Bielsko-Biała 1997), *Jesień stulecia* (Bielsko-Biała 2000), *Przewodnik ślepego psa* (Bielsko-Biała 2003), *Przypadkowa wieczność* (Bielsko-Biała 2006), *Hölderlin maluje* (Bielsko-Biała 2009), *Milion mściwych okrucichów* (Mikołów 2014), *Gra na czas* (Bielsko-Biała, 2017). Tłumaczenia: Literatura czeska: Petr Hruška: *Mieszkalne niepokoje* (wybór wierszy, 2011, Instytut Mikołowski), *Darmaty* (wiersze, 2017, Instytut Mikołowski). Literatura słowacka: Ivan Štrpka: *Równina, południowy zachód. Śmierć matki* (poezja, 2011, Instytut Mikołowski).

Damian Dawid Nowak

Urodzony w 1989 r. w Tarnowskich Górach. Poeta i prozaik. Wydał dotychczas trzy książki poetyckie: *Nieistotne* (2014), *Pożegnania* (2015) oraz *Wczesne dojrzwanie* (2016). Jako poeta publikował m. in. w „Arteriach”, „Cegle”, „Helikopterze”, „Krytyce Literackiej”, „Migotaniach”, „Poezji Dzisiaj” i innych. Promotor kultury azjatyckiej, autor artykułów o tematyce kulinarnej i kulturalnej. W czasie wolnym dźwiga ciężary. Mieszka w Warszawie.

Kamil Pietrzyk

Urodzony w 1989 r. Poeta i recenzent muzyczny. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. W 2015 r. ukazał się jego debiut poetycki *Labirynt kretyński* (Fundacji Przyroda i Człowiek). Mieszka w Zawierciu.

Jacek Podsiadło

Urodzony w 1964 r. Poeta, prozaik, tłumacz, dziennikarz, felietonista. Jest autorem wielu tomów poezji, m.in. *Arytmia* (Biblioteka „brulionu”, Warszawa 1993), *Języki ognia* (Biblioteka „brulionu”, Warszawa-Kraków 1994), *Niczyje, boskie* (Biblioteka „brulionu”, Warszawa 1998), *Wiersze zebrane* (Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1998, II wydanie: 2003), *Wychwył Grahama* (Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1999), *Kra* (Znak, Kraków 2005), *Pod światło* (Bez Napiwku, Opole 2011), *Przez sen* (Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, Lublin 2014), *Przedszkolny sen Marianki* (Biuro Literackie, Wrocław 2015), *Włos Bregueta* (Wydawnictwo WBPiCAK, Poznań 2016), *Wiersze. Wszystkie* (Bez napiwku, Opole 2017). Publikował wiersze i fragmenty prozy w większości polskich czasopism literackich. Jego wiersze tłumaczono m.in. na angielski, niemiecki, słowacki, słoweński i ukraiński. W latach 1993–2008 prowadził audycję „Studnia” w Radiu Opole. Od 2009 prowadzi własne Domowe Radio „Studnia” w Internecie. W latach 2000–2007 był stałym felietonistą „Tygodnika Powszechnego”. W 1992 r. został laureatem Grand Prix w konkursie na brulion poetycki im. M.M. Morawskiej. Laureat licznych nagród literackich, m.in. nagrody im. Georga Trakla (1994), Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1998), Nagrody im. Czesława Miłosza (2000); pięciokrotnie nominowany do Nagrody Literackiej „Nike” (w 1999 za *Niczyje, boskie*, w 2000 za *Wychwył Grahama*, w 2006 za *Krę*, w 2015 za *Przez sen* – finał nagrody i w 2017 za *Włos Bregueta* – finał nagrody), nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia 2009 w kategorii proza za *Życie, a zwłaszcza śmierć Angeliki de Sancé*, nominowany do Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego „Orfeusz” 2015 za tom *Przez sen*. W 2015 otrzymał Wrocławską Nagrodę Poetycką „Silesius” za całokształt twórczości oraz Nagrodę Poetycką im. Wisławy Szymborskiej 2015 za tom *Przez sen* (ex-aequo z Romanem Honetem). W 2017 otrzymał Wrocławską Nagrodę Poetycką „Silesius” za tom *Włos Bregueta*.

Małgorzata Południak

Redaktorka kwartalnika literacko-artystycznego „sZAFa”, serwisów ArtPub Kultura i Galeria. Felietonistka kwartalnika „eleWator”. Autorka czterech tomów wierszy: *Czekając na Malinę* (2012), *Liczy nieparzyste* (2014), *Mullaghmore* (2016), *Pierwsze wspomnienie wielkiego głodu* (2017). Mieszka w Irlandii. Prowadzi blog poetycki Pierwszy Milion Noc: <https://wccieniuskrzydel.blogspot.com/>

Janusz Radwański

Urodzony w 1984 r. Wydał książki z wierszami: *Księga wyjścia awaryjnego* (Brzeg 2012), *Chałwa zwyciężonym* (Olkusz 2013), *kalenbarek* (Warszawa 2017). Opublikował trochę wierszy i przekładów z j. ukraińskiego w prasie literackiej. Jest współtwórcą audycji „Wszystko jest folkiem” w radiu Studnia. Folkowy basista, muzealnik. Ojciec Hani, Franka, Łucji i Kaliny. Mieszka w Kolbuszowej Górnej, na Kalenberku.

Pavel Řezníček

Urodzony w 1942 r. Poeta, prozaik, tłumacz z języka francuskiego oraz publicysta literacki, człowiek paradoksów – nie tylko w poezji. Jego życie i wspomnienia są związane z Brnem, chociaż od początku 70. lat mieszka w Pradze. Jego wiersze są czysto surrealistyczne, lecz on, outsider z wyboru, stoi poza rdzeniem tutejszego surrealizmu, czyli grupą surrealistyczną. Literackie początki Řezníčka związane są z brneńską grupą literacką Vateň. Pierwsze wiersze opublikował w roku 1967 w pismach „Sešitty pro mladou literaturu” i „Divoké víno”. W latach normalizacji (1970–1989) publikował tylko w drugim obiegu i za granicą – obecnie ma na swoim koncie około 20 wydanych książek. Obszerny wybór poezji Řezníčka w tłumaczeniu Jana Fabera i Franciszka Nastulczyka ukaże się niebawem nakładem Instytutu Mikołowskiego.

Dorota Ryst

Absolwentka Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Warszawianka. Wydała 6 autorskich tomików poezji – najnowszy to *Sample story* (2016). Jest jednym z założycieli Stowarzyszenia Salon Literacki zajmującego się popularyzacją i promocją polskiej poezji, w stowarzyszeniu pełni obecnie funkcję zastępcy prezesa. Redaktor naczelna Internetowej Gazety Kulturalnej „Salon Literacki”.

Ryszard Smolak

Urodzony w 1953 r. w Woli Przybysławskiej, od 1983 r. mieszka w Puławach. Poeta, społecznik, radny IV i VI kadencji Rady Miasta Puław, przez trzy kolejne kadencje przewodniczył Powiatowej Społecznej Radzie ds. Osób Niepełnosprawnych. Za kilkudziesięcioletnią pracę społeczną został wyróżniony tytułem: „Społecznik Roku 2005” Fundacji „Pomoc Społeczna SOS” – Społecznicy Społecznikom Jacka Kuronia i Wisławy Szymborskiej. Odnaczony medalem „Zasłużony dla Puław”. W 2010 r. wydał *Zastępczy życiorys i inne wiersze*, nominowany do głównej nagrody za debiut roku w XVII Konkursie Poetyckim im. Anny Kamieńskiej. W 2015 r. jego *Ukrzyżowane pejzaże* zdobyły główną nagrodę w XXI Konkursie Poetyckim im. Anny Kamieńskiej za najlepszą książkę poetycką roku 2014. W 2017 r. ukazał się jego poemat *Tristesse* (Miniatura, Kraków). Nagradzany i wyróżniany w konkursach poetyckich; jego wiersze i opowiadania były publikowane min. w: „Metaforze”, „Tece Puławskiej”, „Magazynie Twórczym Polska-Canada”, „Prolibrisie”, „Nestorze”, „Scriptores Scholarum”, „Obyczajach” i almanachach pokonkursowych.

Tadeusz Zawadowski

Urodzony w 1956 r. Poeta, redaktor, krytyk literacki. Ukończył studia ekonomiczne na Uniwersytecie Łódzkim. Od 1981 r. mieszka w Zduńskiej Woli. Członek Związku Literatów Polskich. Laureat ponad 200 międzynarodowych i ogólnopolskich konkursów literackich. W roku 1997 Niezależna Fundacja Popierania Kultury Polskiej POLCUL FOUNDATION w Sydney (w kapitule zasiadali m.in. Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Jan Nowak-Jeziorański) uhonorowała go swoją nagrodą za działalność kulturotwórczą. W 2014 r. został uhonorowany Nagrodą Literacką *Ianicius* imienia Klemensa Janickiego, a w 2015 Nagrodą Ekspresjonistyczną im. Tadeusza Micińskiego. Debiut poetycki w tygodniku *Radar*. Publikował m.in. w: „Arteriach”, „Akcencie”, „Okolicy Poetów”, „Frazie”, „Lekturze”, „Sycynie”, „Metaforze”, „Arytmii”, „Wiadomościach Kulturalnych”, „Gazecie Wyborczej”, „Magazynie Literackim”, „Przeglądzie Artystyczno-Literackim”, „Pograniczach”, „Śladzie”, „Wyspie”. Tłumaczony na języki: rosyjski, łotewski, bośniacki, chorwacki, serbski, słoweński, grecki i angielski. Wydał tomiki poetyckie: *Fotoplastikon* (1987), *Witraże* (1991), *Demony* (1992), *Przedrośla* (1994), *Listy z domu wariatów* (1995), *O Elizabeth, Berenice i jeszcze innych kobietach* (1997), *Krajobraz z kroplą w tle* (1997), *Lustra strachu* (2000), *Ścieżka obok raju* (2005), *Między horyzontami* (2006), *Powrót do domu wariatów* (2007), *Listy i cienie* (2011), *Kiedys* (2014) (Nagroda Literacka im. Ryszarda Miłczewskiego-Bruno), *Mrówka* (2017).

AFRONT Kwartalnik literacko-artystyczny

Siedziba redakcji: 32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7 A

tel. 502 405 437, 668 118 267

www.afront.org.pl, afront.fundacja@wp.pl

Olgerd Dziechciarz – redaktor naczelny

Agnieszka Zub – sekretarz redakcji

Jarosław Nowosad – redaktor

Okladka: Stanisław Cholewa, fragment grafiki

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania, redakcyjnego opracowania oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Teksty kwalifikowane są do druku wyłącznie na podstawie kryteriów czysto literackich. Redakcja nie zawsze i niekoniecznie w pełni podziela wyrażane w nich poglądy.

Nadsyłane do druku teksty i zdjęcia publikowane są nieodpłatnie.

W(y)stępniak

Od trzech razy do nieskończoności

Najpierw słyszeliśmy, że nie wydamy nawet pierwszego numeru. Skąd weźmiecie pieniądze? I ten uśmiech, uśmiech kogoś, kto zadaje pytanie retoryczne, więcej – uśmiech kogoś, kto zna każdą odpowiedź. Na cholerę więc pyta? – można by zapytać. Potem – gdy już wydaliśmy pierwszy numer – zaczęła królować fraza: skąd bierzecie pieniądze? Po prawdzie to pytanie inicjuje właściwie każdą dyskusję o „Afrontcie”. Czujemy się zażenowani, gdy na nie odpowiadamy, bo jak ludziom wytłumaczyć, że zostały wysłuchane nasze modlitwy i oto pewnego letniego popołudnia objawiła się nam niebiańska Istota i – ma się rozumieć – rozbrzmiewały wówczas chóry anielskie, grały trąby jerychońskie, a małeńkie putta rozrzucały kwiecie. My padliśmy na kolana, a Istota wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni świetnie skrojonej marynarki portfel i sypnęła groszem – akurat tyle tego grosza było, że wystarczyło na „Afront” (ale żeby nie było zupełnie jak w hollywoodzkiej bajce – na księgową to już się musimy składać sami). Ludzki umysł pojąć istnienia takich Istot nie jest w stanie, wiemy o tym doskonale, bo nasze umysły też tego nie pojęły.

Następnie słyszeliśmy, że jesteśmy efemerydą i na pierwszym numerze się skończy: – OK, udało się wam, pierwszy numer wyszedł, ale żadnego więcej nie będzie. Nie ma bata! A poza tym, co to za kwartalnik literacki, którego nie można nigdzie dostać?! – Jak to nigdzie? – denerwujemy się. – U nas można! Taka nasza specyfika!

Kiwają głowami i widać wyraźnie, że nam nie wierzą. Nieważne. Ważne, że – wedle wielu – z „Afrontem” nr 2 miało być jak z tzw. drugą książką – miał potwierdzić naszą wartość albo jej brak, albo spowodować, że nadmuchany balonik pęknie. Na szczęście Autorki i Autorzy w nas wierzyli i udostępniali kolejne teksty, więc nie popadliśmy w czarną rozpacz. Drugi numer ukazał się – i to dość szybko; jak na zwyczaj kwartalników literackich wręcz w piorunującym tempie – i wszelkie głosy, tak krytyczne, jak i pochwalne, na moment zamilkły. W końcu jednak dotarło

do nas dobre słowo, choć szło jakąś okrężną drogą, via Pekin i Rio de Janeiro...

Po drugim numerze pojawiło się kolejne słynne stwierdzenie, że do trzech razy sztuka. Może to było nawet mobilizujące, ale najbardziej zmotywował nas Małopolski Urząd Marszałkowski, przyznając nam środki na wydanie „Afrontu” nr 3, który, drogi Czytelniku, właśnie trzymasz w dłoniach. Choć termin realizacji zadania był tak krótki, jak odległość od ziemi, gdy samolot wpada w korkociąg, jakoś udało nam się z tej nieoczekiwanej sytuacji wybrnąć i wyprowadzić gazetę na prostą. Na szczęście w zapasie mieliśmy sporo dobrych tekstów, więc nie było tzw. zapychania dziur byle czym i mamy nadzieję, że „Afront” nr 3 czyta się tak dobrze, jak poprzednie dwa numery czasopisma, a może nawet lepiej.

Na co teraz czekamy? Co nam teraz powiedzą przyjaciele i malkontenci? (jak się okazuje, bardzo często to bracia syjamscy). Na razie padła tylko jedna ostrożna liczba: 17. Podał nam ją jeden z najważniejszych polskich poetów, gdy go zapytaliśmy, czy nie udostępniłby nam do publikacji jakichś swoich nowych wierszy. Dokładnie powiedział tak: „Dam wam, ale do siedemnastego numeru”.

Jakby nie liczyć, wydarzy się to za ponad cztery lata! Traktujemy więc słowa poety już nie jako zwykłe słowa niezwykłego poety, słowa pachnące wypitym dopiero co koniakiem, ale jako słowa nieledwie wieszczca, bo w końcu wieszczę on nam, że będziemy się ukazywać za cztery lata... A cztery lata w przypadku prasy literackiej to czas tak odległy, jak siedziba naszej Fundacji od miejsc, w których znajdują się wiodące ośrodki kulturalne. Tak więc wszystko wskazuje na to, że niektórzy z Was wierzą w nas bezgranicznie, wierzą w nasze nieskończone możliwości – uszak cztery lata, w naszej sytuacji, to niemalże nieskończoność – i ta Wasza wiara nas uskrzydla, i na tej wierze zbudujemy „Afront” na miarę naszych możliwości, i to nie będzie nasze ostatnie słowo!

Redakcja

Jacek Podsiadło

Świat gotowy na wszystko

Chmura nad miastem
ma taki dziwny kształt jak pierzyna rano.
Wiozę Mariankę do przedszkola.
Przepuszczam na pasach dziewczynę w bordowych trampkach.
Inna śmiga chodnikiem na rowerze.
Starzec z balkonikiem tupta w przeciwną stronę.
By odprowadzić ją wzrokiem, musiał ustawić się bokiem.
Będą nam odjęte narzędzia kochania,
sny i godziny wstawania.
Lecz jeszcze przedtem zima i jej srebrne dzwonki.
Zimą łatwiej być dobrym,
w ogóle w bieli łatwiej,
lżej.
Dopiero później wróci kwietna paradność dni.
Przyjdzie wiosna.
Pozabija.

Liryka i druk

Wszelka nierówność formalna jest szkodliwa
Julian Przyboś „Idea rygoru”

Kiedy byłem włóczęgą, miałem młodość i czas.
Śmierć była sympatyczną, futurystyczną
hybrydą. Lubiłem obserwować dzieci lub zwierzęta.
Byłem wahadłem, huśtawką, energię brałem głównie
z bezwładu. Nie sądziłem wówczas, że doczekam potomstwa
i własnych zwierząt. Myślałem, że świat
traci się na zawsze.

Zdobyć jakieś pieniądze i wyjechać.
Samochodem z Pippi na drzewiach i z różnymi systemami.
Nad morze, żeby cieszyły się dzieci.
Słuchać wrzasku tysiąca podobnych sobie ludzi.

Budować na piasku i w ogóle – brać udział.
Płacić za wszystko, co miało się kiedyś za darmo.
Ulegać pokusom, wracać do nałogów bezokolicznika
i imiesłowu, współcześnie i uprzednio. Dzień
zaczynać od anafory jak babcia Marianki od papierosa.

Papieros i kaszel, dwaj nieśmiertelni bracia z bajki.
A wystarczy odbić trochę w bok od plaż, na których
rodzice wydzielają dzieciom przyjemności, racjonują sny
i – co za rozkosz – pozwalać falom, żeby omywały mi stopy,
zasypując je raz po raz drobnymi kamyczkami!
Dobrze, że stworzono żagiel, ster i odsalarkę,
natomiast masażery i wibratory można było sobie darować.

Rano, one jeszcze w łóżku, ja jeszcze na podłodze,
rozmawiamy o piłkarzach, ich nazwiskach i przydomkach.
Marianka chce wiedzieć, skąd wzięłem imię dla Dawida, więc
przechodzimy do Biblii i ona pyta, jak modlą się konie.

Gdy pada, gramy w ping-ponga z Heńkiem spod Złotoryi.
A przecież raz zrozumiałem, że jestem odmieńcem,
postanowiłem to hołubić. W porze transmisji świetlica
zapełnia się fanatykami futbolu i piwa. Powagę sytuacji
podkreśla ich nadwaga. Boję się odezwać,
żeby nie skończyło się to powszechnym mordobiciem.
W końcu to ja moderuję dyskusję w przerwie meczu,
kto jest piłkarzem wszech czasów (zdaniem Heńka – Koeman!).

I jeszcze jedno na koniec. Sam wiesz, że podziwiam
mozolną dłubaninę w kilku istotnych myślach
czy jak się to tam nazywa, ale doceniam też
szastanie słowami na prawo i lewo, jak forsa.

Ślepe zwierciadło

Chciałem mieszkać w dziczy.
W walącej się chacie na odludziu.
Ostatecznie większą część życia spędziłem
w betonowych blokach z epoki socjalizmu.
W chybionych parabolach
wykorzystywałem ich podobieństwo do indiańskich puebli.
Pragnąłem przestrzeni, samotności, źródła,
a szukałem miejsca do parkowania.
Kłąłem sąsiadów.
Próbowałem naprawić kran.

Więcej: rzekoma wielkość
zajmowała mnie bardziej niż prawdziwa nędza. Cieszyła mnie
literatura, ten manekin żeński,
który w miejscu, gdzie by być mogło
coś naprawdę ciekawego,
nie ma nic.

Marianka ciągnie po podłodze blok rysunkowy.
Podpisała go „INTERNET”. „Zaczekaj, tylko
otworzę taką ciekawą stronę”.
Wyobraźnia.
Mapa.
Wciąż mieszka we mnie
swego rodzaju dzikość, jakieś życie, pewna śmierć.

Wstyd to bezwstyd

Boże, jaka geriatra!

– Olga podczas gali wręczenia nagród literackich, na ucho.

przyłapałeś mnie na tym
że nie odróżniam
Józefa Ozgi Michalskiego
od Jana Bolesława Ozoga

w tle dyszały młockarnie
chatom dymiło się z łbów
ojczyzna leżała w ruinie
ty brałeś mnie w łubinie
i w godzinie szczytu powiedziałam
wyrażnie jak na akademii
J ó z e f O ż ó g M i c h a ł s k i

Włos

dziękuję Zeusie Chrystusie
że dałeś mi ciało i tarczkę
i użyczyłeś gromu

za wszystko co sobie odjąłeś
i com sobie sam dołożył
abym się stał i ożył

za wadę w wymowie
nos w książkach
damską nieśmiałość
i jurną nieudolność
za włosy Hotentota
wiersze prosto z krzaka
drobne dziwactwa
i grube przesady
za wszystko przez co
nie należę do ludzi
normalnych przyzwoitych przewidywalnych
więc nie jest tak
do końca
pewne
że gdyby
przyszło co do czego
kradłbym sprzedawał liczył i milczał

podróbki

upał. może ostatni tego lata. w metrze
facet w koszulce trzeciej świeżości z napisem
letitsnow chłodzi skuteczniej niż coca-cola. chociaż
to na pewno nie jest to. nawet nie może tego

zastąpić. tłok. w słuchawkach tori amos
śpiewa *strange little girl where are you going?*
wszystkie dziewczynki udają że są duże i zbyt zajęte
by odpowiadać na pytania. na ruchomych schodach
wybierają zawsze lewą stronę. bynajmniej nie od serca.

bar przy stacji metra oferuje płucka na kwaśno
i cynaderki.

takiego lata

Nad horyzontem błyska się i słychać szczęk żelaza

[M. Świetlicki, „Filandia”]

to było wyjątkowo upalne lato. mówię
było a przecież dopiero sierpień. tyle jeszcze przed nami
dni suchych i szeleszczących. i nocy o których nie można powiedzieć
spadających gwiazd bo oprócz dobrego smaku narusza to prawo

majątkowe pewnego biznesmena który opatentował ten tytuł.
mimo to gwiazdy spadają. wiśla odsłania skarby
i stare opony. ktoś próbuje suchą stopą przejść na drugą stronę
a to wciąż chodzenie po wodzie. zmienianie w wino

udaje się tylko za pieniądze. na szczęście
bóg jest *czuły i dobry a wódka zimna i pożywna*.
pierwszy od wielu tygodni deszcz pachnie
kurzem. drapie w gardle.

słowo na niedziele

nie poprawiaj. nie dopisuj ogonka do e. to nie chodzi o tę jedną
ostatnią. i nie o pierwszą. wszystkie leżą gdzieś pomiędzy. dostaję
maila *Dorota sprawdź ofertę na termalną jesień*. czytam

terminalną. wieje chłodem. *a był sierpień, pogoda*
prześliczna. próbuję znaleźć choćby jeden powód
więcej żeby jutro wstać niż poranna kawa. tylko ta pierwsza

się liczy. druga nigdy nie smakuje tak dobrze. słowa stygną
drapią w gardle.

zapominanie

Jedziemy zapominać. Zapomina się najlepiej w „Kameralnej”

[Leopold Tyrmand, „Zły”]

miasto moje, śnie niedośniony. najpierw znikają
knajpy. zaraz potem ludzie. najdłużej trwa dym
z papierosów zapach perfum powidok czerwieni

warg które szeptały zaklęcia. klątwy. przekleństwa
to jedyne czego zawsze w bród. najtrudniej zapomnieć
pamięć. temperatura rośnie. coraz trudniej oddychać.
z tej ciszy będzie deszcz.

plama

któregoś dnia dzwoni telefon i na pytanie *kto mówi?* skrzypiący
głos odpowiada *jak to kto? mama.* wszystko wraca
na nieswoje miejsca. znów jesteś małą dziewczynką
która boi się że się wyda że zjadła czekoladę

i że nikt jej nie kocha. palce kurczowo zaciskają się na szyi
misia. to bezpieczny wariant. w końcu po coś są
te cholerne misie. przecież nie do zabawy. z obawy
że błękit nagle wyleje się w trywialną czerwień

ściemnieje zastygnie słodkim mdlącym zapachem
wypełni powietrze stępiasz nawet wzrok. powtarzasz
jak mantrę *plamy z krwi kiedy zaschną, zostaną na zawsze.*
zawsze myślałaś o niebieskich migdałach. zbyt gorzkich

słowach. wcierasz sól w plamę. pamiętasz
tylko zimna woda. żeby nie ściąć białka.

O wychwalaniu

Szukałam cię dzisiaj w barach, gdzie serwują rybę
z frytkami. Zestaw – śmierć. Wraz z rybą zjadłeś substancje
trujące, ulatniające się z rzepaku. Przez czterdzieści dni czyścisz
grzbiet z łusek, płuczesz zapach i smak octu. Jakby nic się nie stało.
Zamiast w oczy, zaglądamy sobie do okien, pod sukienki.
Nie zmienia się. Nic.

Jesteśmy pomiędzy mową a liryką, o której niewiele pamięta.
Nie zachowuję obłąkanych słów na później. Nie robię wrażenia
rumieńcami ani kształtnymi biodrami. I wszystko jest po coś.
Niemożliwe. Zabronione. Na poważnie. Tylko otworzę
lufcik. Leć. Przecież próbowałam odliczyć czas. Okiełznać
uścisłość, że wiele chorób odziedziczymy, więc szczęścia
zostanie niewiele.

Tłumaczki. Od pierwszych słów chcą przejść do konkretnego.
Oceniają znoszone garsonki albo buty, zanim przepracują schemat,
z którego wyjdą przed siebie, z ostatniego piętra. Wyłuszcza
niedorzeczne zasady podziału literatury. A kiedy dotrzemy
do ziemi, do każdej grudki pod stopami, będziesz adorował
piękno. Zauważą to najmniejsze ptaki. O tej samej godzinie.
Codziennie.

O nocy

Nie usłyszysz ostatniego zdania,
kiedy odpływasz od dalekich marzeń.
Jeszcze się uśmiechasz, więc nie przecinam żył.
Nie w tym śnie, nie obejmujemy drzew, nie przelatuję
nad polami i łąkami. Zielonymi, soczystymi wśród barw
o każdej porze roku. Na szczęście to nie jest mój sen.
Komuś innemu przytrafiają się seryjne zbrodnie.
Biegniesz. Jak długo – nie wiem, bo kamery nie rejestrują
poruszania stóp i rąk. W kieszeni. To pamiętasz.
Zdjęcia, klisze, zdobiony nóż i kartka z napisem
o niejasnej treści. To wszystko można wydrapać, wykrzyczeć
nad toaletą. Coś mówisz szybko, komuś innemu,
za starym orzechem, w pamięci zapach skóry. Mnóstwo ludzi,
każdy z ogromnym obrazem. Z lnu i ram wyciekają kolory,
tinta po zuwierzętach, krew, może czerwień za paznokciami
doprowadza do torsji. Ziemia, tajemnice, które w niej pochowano.
Czarne worki pełne kości. Jakieś sprzęty. Schody w dół.
Remakes snu pojawiają się jeszcze wiele razy.
Z kroplami na czole spuścisz wodę, przy każdej myśli,
wypuszczanej pojedynczo.

O dotyku

Problemy komunikacyjne, życiowe. Lekki zawrót głowy.
Zapis historii. Mundury, opaski, nerwowe okrzyki
niosą się nad ulicami. Chociaż tutaj mogę być wolna.
Powstrzymuję się, bo zwykle wybiegam przed siebie.
W myślach i w mowie. W chwilach szczęścia,
siadamy na kłifie, żeby poczuć się lepiej. Sól oblepia,
żarliwie, do krwi.

Mam na to alergię. Trochę żałuję przypadkowych
spotkań. Nazywam je pojęciami z głowy. Urzeczywistnienia,
przecucia. A przecież mogłabym lepiej, kiedy kolejny raz
ktoś pyta o imię i przekręca, wykręca się po mistrzowsku.
W czyjś notatniku istnieję jako bla, bla, albo Ma.
Bilans. Człowiek chce więcej i więcej.

Pokonuję nieśmiałość. Dostrzegam ludzi w zupełnie innym świetle.
W przedśionku – jeszcze nie starość. Coś drobnego, pestki
winogron. Niedoczytane powieści. Ułamek tego, co pozostawiam,
by się całkiem oderwać. Wymówić nazwiskami, dogmatami z książek.

Rysuję na serwetce ślimaki, domki. Pudła wypełnione farbami.
Zapach wosku. Słabość do drewna, kwiatów. Cienie.

System ulic

Baśce Trzybulskiej

Drobne przyjemności. Stłoczone w jednym mieście.
Symbole. Pod fundamentem węgiel. Rezydencje,
przyczółki dla przyjaciół. Wydawało się, że żadna z nas
nie miała ochoty iść w świat, do zamorskich miast.
Kolonizujemy popioły. Zmieniają się mieszkańcy, wybrzeża.
Kiedyś istniały bardziej przed nami. Przed armadą, pożarem.

Wyprzedzamy się w wielu funkcjach. Obejmujemy stanowiska.
Geodeci, urbaniści, architekci książek. Potem precyzyjnie.
Ułożone domy. Zgodnie z ruchem lewostronnym.
Prawostronnym – do wyboru.

Tamtego dnia uczyłam się od ciebie cierpliwości. Nie tylko
z jej braku. Ciążyły na nas statki, nowe miejsca, do których docieramy
po czwartej nad ranem. Lokatorzy nie chcą ustępować. Lękają się.
W nowych domach. Szeregowo, dla niewielkich rodzin.
Miasta. Tuż za rogiem, na trzecim piętrze, zwolnił się pokój.
Zaledwie kilka minut od oceanu.

O snach

Mirkowi Antoniewiczowi

Nawet gdy pamięć rozmija się z cieniem.
Prawidła nie obejmują objęte. Prostują i naciągają.
Na plaży piramidy z kamieni. Płaskie, chłodne.
Zależy z ilu liter składasz imię. Ubrania. Leżymy
w jednej linii. Rozwija się niebo, zwija. Kołysze.

Kołysze. Ozdoby z trawiastego ogrodu. Jak wiatr zawieje.
Suszone pomiędzy stronami lokalnego dziennika. Długie liście,
odciśnięte słowa. Makaroniki, cienka skóra na łokciach, zdarte palce
od wygrzebywania łupków. Z warstw piasku, alg, wypłutych
roślin. Chłopiec trzyma w dłoni niebieską tasiemkę.

Do bólu owija palce. Nie słabnie. Przywołuje z pamięci
nieobecnych. Spina się, aż bieleje skóra. Podmyte kamienie
miękną. Stygną. Na słońcu tracą kolor. Mówisz, że tak trzeba.
Jeszcze przez chwilę tu się pokręcę. Wykołyszę na boki w łodzi
z ciemnego brązu i błękitów.

O wiatrakach

Annie Kozłowskiej-Luc

Deszcz o każdej porze roku. W nocy podpływa rzeka,
w dzień nie mieścimy się pod mostem. Świeże powietrze,
twarde wiosła. Dłonie. Czerwone, opuchnięte.
Cały dramatyzm, kogo można ścierpieć, kogo nie. O świcie
słychać tylko ptaki i mleczne krowy.

Zapominam, co i komu. Pomijam chwile, w których utknęłam.
Chociaż uważnie usuwam ciernie. Wiem, że kiedyś
przywrócę tym miejscom równowagę.
Po równo spokój i spokój.

Kiedyś te wszystkie miasta runą. Nabiorą znaczeń alabastrowe
podejścia. Ukryte rzeźbienia bram, przejść i wyjść.
Powielane na papierze odpowiednią grubością czcionki, kresek.
Zostaniemy łowczyniami w mieście zbudowanym z ulotnych
wrażeń. Z kaprysów. Będziesz barwić nowe mury
chłodnymi szarościami. Coraz mniej schodów, wawozów.
W oddali kręcą się lub nie.

POEZJA

Marta Jurkowska

Misterium

Widziałam cię, Panie,
jak dźwigałeś ciężki krzyż
ulicami miasta,
za ścianą lokalu
rznąła *metalica*.

Rozszalały tłum krzychał
zabij go, zabij.
Parowały kotły, jazgotały gitary
w gęstej smole powietrza.
Trupie czaszki na
koszulkach jęczały
zabij go.

Koślawe staruszki
niosły za tobą
wiekuiste światło,
wycierały pot i krew.

Tumult kłębił się w środku
podchodził pod bramy;
zdzierali z ciebie szaty,
pluli w twarz, poniżali –
wywyższali złoczyńców i katów.

Teraz chowają się pod podłogą
na wieść, że zmartwychwstałeś;
pobielają ściany, wieszają krzyże

poznałam ich
po sposobie wbijania gwoździ.

Rodowód

Kura znosi światło a ślepota jest ucinana na pniu.
puste skorupki wrzuca się do jałowej ziemi
i nic już tutaj nie urośnie.

Bezpłodne męzatki szukały swoich dzieci
na dnie jeziora, zostawiły na powierzchni obrączki.

W miejscu, gdzie stygną ciężkie płyty grobów –
paruje, widać tylko mgliste obrzeża miasta,
martwe ulice, nieużytki,

tu wszystko sypie się solą,
żeby kurz nie osiadał na stopach
i czysta płynęła krew

z ojca na syna.

Scheda

Lęk, który przyszedł do mnie
w minucie poupychał godziny,
trawi moje podniebienie jak rdza trawi
starą wskazówkę języka.

Mój dziadek nie umarł a zaledwie
odszedł, zabrał ze sobą królestwo
umazane błotem, berło wyrwane
twardej ziemi, szczerbatą koronę
i szlacheckie nazwisko.

Jego tron poszedł w obce ręce;
na granice najechały chwasty
i dreczące muchy, duszą mnie od środka
jak czarny dym, jak ta garść popiołu.

Pieśni błagalne

Mięso skwierczy i kurczy się do rozmiarów
zatoki. nakrywamy stoły, śpiewamy błagalne pieśni,
ale milczy wiecznie głodne i głuche niebo.

Będziemy głaskać węgorze, ich skóra jak
surowy jedwab podetnie nam żyły
i wyleje światło, wyłowi mężczyznę
(w jego głosie pobrzmiewa wszystko, co przeszedł).

Pij, pij powietrze i tańcz niech nasycą się
iskry oczu twoim tańcem, opowiadaj, jak
upadały królestwa i podnosili się żebracy,

niech tańczy w nas kulałe życie
miażdżone innym czasem.

Pieśń o zagubionym mężczyźnie

Ta pieśń będzie o dziecku
zamkniętym w dorosłym ciele,
o podrywaniu strun,
szukaniu drogi w piasku,

miejsca, gdzie chłopiec
porzucił swoje imię.
W jego kieszeniach zguba
i cierpki śmiech.

Odkąd wywiedli go ludzie
z bagien – rozpala kadzidlą,
powtarza swoją matkę – jak mantrę.

Nie widzi innych kobiet,
nawet ich nie rozumie,
ale tuli się do rozgrzanego
ciała nocy, próbuje smaku
cichych dni.

W poszukiwaniu wiary

Wiatr wymiata resztki obłoków,
szarpie sutanny, wrzody i szramy.

Ktoś wyrwał mi z dziąsła
fragment wąskiej doliny,

karze mnie za grzechy
popelnione we śnie,

krzyczy zza krat konfesjonału,
że od trzydziestu lat

buduje we mnie kościół
a ja wciąż nie potrafię odróżnić
dobrych od złych zamiarów.

W zimnym i pustym wnętrzu
kolorowych witraży pytam się świętych,
którym wywleczono duszę,

czy świat z rozbitym sumieniem
boli tak samo?

Zmiana czasu

Zmiana czasu – zegar idzie
w drugą stronę, ubywa nam dni.

Teraz musimy już biec,
żeby zdążyć przed końcem.

Na mojej orbicie – roboty drogowe,
splątane obwodnice, wąskie przejścia,

walec ugniata wielkie bryły miasta.
Zrównanie nocy i dnia odbywa się na ogół

bezboleśnie, tylko czasem bolą mnie
wszystkie krzyże, pulsują pod czaszką obrazy.

Wiem, że jeszcze przyjdą czarne, chude
minuty, będą się rozpychać w czasie

wodzić mnie na pokuszenie, patrzeć,
jak psy liżą kości, szarpiać za krtań.

W żyłach już kłębi się światło
przestrajam się na inny czas.

POEZJA

Marie Iijašenko

tłum. Zofia Bałdyga

Osip podąża na południe (fragmenty)

Młynek do kawy

Osip pożera i jak młynek wyrzuca gąsienice słów.
Dodajemy pieprz i sól, szczyptę kolendry: poezja kuchenna.
Zapytaj go, czemu to robi, a on zamilknie
jak radio, które usnęło na parapecie.

Osip opowiada, jak parzy się kawę w Armenii: o oo ooo o ő ő
Pierwsze bąbelki burzą powierzchnię.
Nigdy tam nie byłeś, Osipie, mówię mu,
a on na znak sprzeciwu kręci niebieską głową

i ćwierka coś w przedziwnym języku z języczkami u liter:
Հայաստան Հայաստան Հայաստան !
Pojedziemy do Armenii! Pojedziemy do Armenii!
Pojedziemy na południe!

Pieśń nad pieśniami

Osip zaleca się do uprzejmy wspinaczkowej:

jesteś jak harfa bez strun, jak cytra na wzgórzach w gąszczach!
Jesteś lśniaca owalna o la o la laaa! Ach, jesteś tu, całowałbym cię?
Ach, jesteś tu, całowałbym cię!

Choć mały ze mnie ptaszek, wyśpiewam ci całego siebie:

jesteś lśniaca owalna o la o la la i pachniesz goździkami!
A uprząż mu na to: Osipie, choć każdy poeta chciałby latać,
nie każdy ptaszek chce być poetą.

(Albo precyzyjniej: nigdy nie jest na odwrót.)

Osip obcuje z zaparządką do herbaty,
powije filiżanki ze skrzydełkami, które przylecą wraz z napojem
prosto do naszego łóżka: tam tadam tam tam!

Osip spotyka Matyldę

Przyniesiemy mu ptaszka w pudełku po malinach,
a oniemieje z radości

i wreszcie zabrzmi: Matylda!

Matyldo, Matyldo, pokażę ci maliniak na rumowisku.
Azbukownik po dziadku, ławkę, na której siadywała babcia,
czwartą co do długości europejską rzekę. Zabiorę cię
w dalekie podróże.

Matyldo, w przyszłym życiu nie będę małym ptaszkiem,
będzie ze mnie chłop jak dąb.

Przejdę Karakoram i w pięknej łodzi spłynę Indusem.
W poprzednim pewnie był ze mnie poeta.

Poprzednie życie

Kradłem karmelki w petersburskim domu profsojuzu,
uwodziłem aktorki w kijowskich kawiarniach,
bałem się papierków lakmusowych, bałem się języka
moich litewskich i galicyjskich pradiadków,

kochałem Rembrandta i czytałem starych Greków.
W poprzednim życiu był ze mnie pewnie poeta.
Kochałem wieże, to przez te kamienie,
nie ze względu na istotę wież.

Stałem kiedyś przy ogrodzeniu z okuciami,
wpatrywałem się w dół w pustkę i powiedziałem sobie:
w przyszłym życiu przyjdę na świat jako mały pisklaczek –
z piórek będę mieć siwy fraczek.

Pojedziemy w Karakorum

Matyldo, gdzie jesteś? Spotykam cię w najrozmaitszych miejscach,
na drzewiach, przy zasuwkach, między dokumentami, między literami szwabachy,
jesteś tutaj, ale twoja obecność to ulotny bezruch,
twoje pozostawanie to nie odpoczynek.

Zlewasz się z meblami, stajesz się fotelem, dziezwą,
miąższem śliwek, z każdym dniem się rozrastasz,
na każde moje *Pojedziemy w Karakorum!*
odpowiadasz westchnieniem, na każde moje zawołanie

zagrzebujesz się jeszcze głębiej w swoich pieleszach,
dotykasz mojego ciała wyłącznie z oddali:
w trzewiach mieszkania szarłat pleni się we wszystkich szparach,
kiedy ty w świetliku przesypiasz południe.

Osip podąża na południe

Matyldo, odchodzę.

Spokojnie, możesz zostać w domu, siedź, być może cię Kocham
może ty mi, ale z tymi słowami już nie mogę żyć Ma
tyldo odchodzę!

Jest jesień, a ja podążam na południe. Wszystko, co znam, to gzymsy okien
i trochę trawy (to pokarm). W środku zimy w słoiku po dżemie
kiełkuje proso a żywa woda płynie przez wodociąg –
buduję swój statek, głaszcząc Matyldę po włosach.

Kiedy trawy tracą vitalność i wypuszczają kłosy ku górze,
owies głuchy na nasypach kolejowych i na środku skrzyżowań
spogląda w otwarte okna. To właśnie wtedy Osip wychodzi poza ramy.
Osip robi krok na południe. Osip obiera ten kurs.

Praga 2012–2014

POEZJA

Pavel Řezníček

tłum. Jan Faber i Franciszek Nastulczyk

Co wisi

Owoce głuchną stary zadziera głowę za ptakami
które rozpinają sobie brody
Królik jest kolbą strzelby jest kolbą owocu jest kolbą siarki
oraz wszystkiego co wisi na drzewie
Europa wisi na spódnicy i jest niepomierne dłuższa od pirata kapelusznika
Jeszcze kilka wystrzałów z królika zostanie tylko arsenał
głucha sierść dywan dla jaśniepana bretnała
listwa do czołgania pod miechami
Jeszcze kilka następnych wystrzałów
Trucizna wysypana w piwnicy
żeby pomogła karaluchom na tamten świat do dziecka wykrojonego z wędzonki
przy zapalce przegląda swój stan skupienia: jest gazowy mówi
Mogę pobawić się ze świętym
i jeszcze rozłupać matkę stosu drewna

Królik jest kolbą strzelby owocu siarki
po prostu wszystkiego co wisi

Lekcja języków obcych

Moja siostrzyczka znała tylko włoski
 Poeta rude szczeciniaste prosię
 pędzi ulicą
 Ruch wielkiego miasta macza kominy w twoim gardle
 jak pędzel w tuszu
 Moja siostrzyczka zna tylko włoski
 Po prebendzie zebranie huk drewnianych skrzydeł
 Umiał powiedzieć: Ko-ko ten kormoran
 Podłoga jak naostrzone jezioro
 Szabla w oknie napomina lustro
 Dwaj starcy za nenufar ze smalcu
 obmacują drewno skrzydeł ptaka Ko-ko
 Inwalidzkie niebo pejzaż z drewnianą nogą
 Moja siostrzyczka będzie znała tylko włoski
 Od budy w polu aż do elektryczności
 musiał wciąż pompować
 Możecie mnie owszem przeklinać po włosku
 Drewniane deski ptasich skrzydeł ściemniają wodę nieba
 Twarz cała z ziemi i igliwia i spódnicy
 i twoja nieobecność
 Zawsze mile widziana
 jak niektóre pokoje
 kościoła
 gdzie można się przespać na otomanie nawet podczas
 najbardziej ulewnej mszy
 Umiał powiedzieć: Siostrzyczka ten ptak Ko-ko
 Umiał powiedzieć: Ptak ten kormoran

Łacina w kominku płomień nazywa drugi płomień pasem napędowym
 wałem korbowym maszyny kormoranem oznaczanym jako ogień
 Kabury i szable
 Zapadnięte zebra rewolweru gruzlica pocisku
 Incest muszki i kurka
 i nieskończone rzenie dwu twoich ud ocierających się pod spódnicą
 jak dwie książeczki oszczędnościowe
 jak nafta o płonące jezioro
 jak zapalka zapalona o twoje wargi

Kormoran z rękawicą bokerską
 Poniedziałek w kapturze
 Brodawki zamiast świeczek we włoskich kościołach

Musiał wciąż pompować
 kiedy chuchał na niebo i polerował je rękawem
 żeby się woda nareszcie wgrzyzła samej sobie w szyję

Tylko kilka zwierząt potrafi gwizdać na palcach ja do nich nie należę

Wszystkie fantomy
 mojego burżuazyjnego życia
 Sługa rodzinny meble rodzinne wyprawiona skóra z wujka
 wisząca nad spreparowanym palcem innego krewnego
 Miasta atakują się jedno wchodzi na drugie
 jak podczas kopulacji delfinów
 lub szybowania lotni
 Neonowa alfa neonowa omega chłuszczą krzaki jak cyrkiel
 Kilogram miodu jest lepszy od kilograma piasku
 Skrzydlate koło rzuca się lepiej niż stu papieżu
 pod zamkiem
 W ornacie chodziłem nabierać wodę
 żeby podkreślić ciemność na niebie
 właśnie gdy chcieli cwałować z przyrodą
 rozumiejącą po niemiecku
 Kupcie sobie wieczorną gazetę
 Naprawdę asystowałem przy aresztowaniu papieża
 Nie chciał się poddać wciąż wymachiwał parasolką
 ale kiedy pogroziliśmy mu piecem
 ochoczo oddał sznurówki
 Tylko kilka zwierząt potrafi gwizdać na palcach ja do nich nie należę
 Chociaż chętnie okorowałbym swoją skorupą niejedno drzewo
 Może jestem zwierzęciem które swoim barytonem przewróci las
 zanim znieśli jajko
 bardziej lubieżne od transoceanicznego parowca
 rude jak noga
 okrutne jak ożyłkowanie na ręce

 Kupcie sobie wieczorną gazetę
 Naprawdę asystowałem przy aresztowaniu papieża

Złoże boksytu

Przechodzili obok i powiedzieli: Przyjdzie
 kawał ciężkiego karabinu maszynowego na widelcu
 W krzakach katarynka rzępoli piosenkę monotonną
 Na urwisku matka zabija swoje trzydzieste drugie dziecko
 No jego już nie będę utrzymywać
 Cynowe dachy i piloci w skórzanych kurtkach
 Skorpion sadi w ogródku marchewkę
 Samolot gra z rakietą w tenisa
 Procesje kalek wloką się do Lourdes
 Powinienem bawić się z tobą tak długo
 aż twoje oczy pójdą na żebry
 Maroko ze skórek chlebowych wybudowało pandemonium
 Porucznik ułanów odkrył złożę rudy w swoim chlebaka
 Zdarli z niego uniform i wprowadzili do niego rurę z gorącą oraz zimną wodą

Przechodzili obok i powiedzieli: Przyjdzie
 Za drewnianymi barykadami
 Za pisakami grafitowymi
 Za krwawymi serwetkami
 Nasienie zwierząt kiełkuje co noc
 Nad każdym morzem
 Nad każdym oceanem
 W każdej rurze poczty pneumatycznej

Na każdej poczcie zwierzę żre ryje kobiet pracujących przy obróbce metali
 Z rury sypią się drewniane trybiki z wieprzowych głów piramid
 Tak to był pomysł dr. Schweitzera
 ubić na szczyt każdej piramidy
 świński łeb
 z cytryną w pysku

Podręcznik filozoficzny

Strażak gasi nagły pożar
Okrzyki płonących ludzi jak piżmoszczury na skraju lasu
Pożar to właściwie taki ogród zoologiczny
Każdy płomień ma własną nazwę
Swoje futro
Swoją mordę
Czy też płetwy

Przed wszystkim nie bratać się z płomieniami
Chociaż są nam zwierzęco bliskie jako zwierzyzna
Strażak przestaje gasić odkłada węża

Okrzyki płonących mieszkańców są duże jak duże piżmoszczury
Strażak bierze słownik filozoficzny

I odnajduje hasło „brzytwa Ockhama”

Poczekajcie dam wam swój paznokieć

Piasek mieszał się ze śniegiem
ponieważ piasek spadał z nieba
i śnieg był tu od zawsze
Cała Gobi cała Sahara jest ze śniegu
Kto twierdzi coś innego
jest notorycznym kłamcą

Na stole operacyjnym chirurg samemu sobie
próbuję wyciąć z ucha narząd Kortiego
Z organów wystrzeliła pizda
Fasole ze śniegu wypycha do gardła
szachinszach

Śmierć to pizdy brach

Kadawer

Kopali do kapeluszy jak do trupów
Jaki koszmar!
Kapelusz przecież nie potrafi się bronić
Kapelusz jest czymś jak dziecko
które matka zapomniała na dnie przepaści
i poszła uprawiać seks analny z borsalinem kanotierą
szapoklakiem cylindrem i melonikiem

Jesteście zdziwieni że potem oni kopali
do kapeluszy jak do kadaweru?
Ja się im nie dziwię

Kapelusz jest czymś jak dziecko
siedzące okrakiem na swojej matce
żywiące się jej surową wątrobą
i śledzioną

Wiersze z tomu
Maszyna do robienia piekła,
który ukaże się nakładem
Instytutu Mikołowskiego.
Tłumaczenie:
Jan Faber i Franciszek Nastulczyk

Impromptu w tonacji niemal tropikalnej

Wolałbym dostać w zęby – odbiło marnością lustro A Ty
zamiast spostrzec moje wytrząsanie braku zaskoczenia z jeszcze
niezaspokojonej zapachem potu przesiąkniętej niewiarą poduszki
usłyszałaś: to może już dziś zamiast kwiatów lepiej zatrzymaj

ten nasz skarcony kawą od-trwoniony odrobiną brandy poranek
Na co odpowiedziałaś: i nie pozostawiaj w kątach swojego
„kocham” za moim „mam cię w dupie” Po czym na przekór
nie próżnującym lędzwiom i znęcającej się nad Twoją dłonią

rozpołowionej papai molestowałaś nasze umieranie – Boleśnie
zasłaniając swoją aksamitną gibkość (aż po uwieranie bezczelnie
erogennych stóp) chitynową sukienką Spod której pijane zmysły
uwalniały (jedynie wspólny) oddech – w czeluście kosmosu

Phallus impudicus

Wszystkie dziewczyny są do siebie podobne
gdy w ciepłą noc – jak grzyby po deszczu –
wyrastają z tajemnicy rozkoszy Nie tracą
wtedy jedynie swobody natury ukrytej pod

kapeluszami słodkich pieprzników
wybornych rydów czy wystrojonych
jak stróże w Boże Ciało muchomorów
Nie dają szans jedynie dostojnym prawdziwkom

– by nie ujarzmiać swych krągłości wobec
nie grzeszących skromnością zawsze gotowych
i nie rezygnujących nawet z modliszek
sromotników ...bo też i „po jakiego grzyba”

Jabłko strącone Twoim pocałunkiem

Zamarznięte we wspomnieniach, ciągnące się aż poza horyzont, choć wąskie
(jak szerokość połówki gałganiarza dopiero co odwinętego z wałka
tkackiego warsztatu Dziadka)

dywaniki pól –
sprawiają złudzenie zasobności,
czekającej na otworzenie swoich wierzei,
pokrytej strzechą z obserwującej już chyba sześćdziesiąte żniwa
(skoszonej na nich) słomy,
będącej ich spichlerzem,
zadaszoną stertą i brogiem,
powozownią i schowkiem narzędzi gospodarskich na czele z sierpem
(już tylko namaszczanym ręką dziadka przed każdymi żniwami)
– podpieranej przez sędziwe lipy,

stodoły.

– W przycupniętym do niej sadzie
czekam
na nie zdradzający tajemnicy nocy świt –
wyprzedzany trelami budzących zarośla słowików i
zawieszonych nad polami, chwalących wszelkie pachnienie,
skowronków:

...To z woli kwitnienia... – szepczesz,

podsuwając moim wargom jeszcze chłodne rosą
dziewicze jabłko, strącone przed chwilą
Twoim (rozgrzeszającym wszystkie) pocałunkiem.
– Co wskutek nieprzejednanej rozkoszy otarł się
o niebo, ostrzelane stojącymi na baczność,
strąkami łubinu.

...No, weź, proszę...

– kusisz, spoglądając w stronę wylegującej się
na gorącym kamieniu beznogiej jaszczurki,
przez skórę której, boskość przemycą
niebieski blask w klejące się miodem
południe.

...Umilowany, Ty mój, skosztuj

więcej ...nim utracisz mnie Persefonę

– łkasz.

...I załśniły kryształem blaszki lodu
pod oddalającą się po nim
kwadrygą –
na połamanej
wodzie.

Nasza umiejętność uciekania od siebie

nawet drogę przebiegają nam już samotne –
modnie ubrane koty

i mołom nie smakują nasze wspólnie schodzone
swetry

odliczamy czas – jak zawiadowcy pociągom
odjeżdżającym w przeciune strony

podłoga już nie łaskocze naszych stóp kiedy
jeszcze razem wstajemy z łóżka

...ktoś za ścianą wychrapuje
naszą obojętność

Noc bez Pegaza

Dotykasz mnie przez rękawiczki
którymi nawet nie zdążyłaś musnąć
wciśniętej w kąt przedpokoju etażerki
łagodzącej jego zmarszczki –
gładzone teraz galopem
wierzgniętej twoimi stopami
metafory

Za ciasne dla dwojga łóżko spiętrzyłaś
łżejszym o – już pod futrem nieobecne –
majteczki swoim jakby przy okazji
czytającym gazetę ciałem
na nie zapamiętującym oczu
zmieniającym nasz dystans z sufitem
prześcieradle

Żałośnie

I

Ziewnęło wsparte na krawędzi dnia
wyolbrzymiało słońce i z Morfeuszem
wpadło do oceanu – mieszając na wodzie
swoje malowidła

...zostaliśmy na plaży nie sprawdzającej
naszego dzieciństwa: dwie oślinione nim
zabawki nie odróżniające swoich dłoni
od wabiącego piasek – dotyku.

II

zakrzywiłeś moją przestrzeń –
jak lalkę
której wydłubałeś wnętrze

zmyśliłeś moją nieważkość –
choć wiesz że bezbrzeża
nie zatrzymują fal

III

jestem w sobie sama –
zastawiam kolczyki u piewcy kłamstwa

choć jestem zachłanna na zieleń
– zwłaszcza w czasie deszczu

...posłucham uderzeń
jego bolących mnie

kropli...

IV

Chciałaś nas?
– to już miej!

– tylko nie pytaj w raju
o rozkosz

– tylko nie zwracaj ogrodowi
wonności

...nim zawtórujesz skrzydłom
motyla

POEZJA

Jacek Kowalski

Chińska litera

To co pochłania mnie nagle najbardziej,
to nie zamieszkiwanie w domu chińskiej litery,
w jej jedwabistym przewiewie, stadach małych
dzwonków, zimnym ogniu, feng shui.

Nie wymaga się tutaj przybywania kogokolwiek,
w tym ciebie i twoich tysiąca odsłon.
Ukośne paliki uchylają granice za uchem i mały
smok przeczesuje moje włosy w pułapce
skacząc przez próg z częstotliwością kamienia.

W każdą stronę ogród, balsamiczne prawdy,
skryta liczba. Staw to przeźroczysta ryba
z lilią zamiast serca. Lampiony gwiazd na wodzie,
Duo Duo* w czyichś małych dłoniach, dym zapisujący się
w ciężarze, ten cichy ptak.

*Duo Duo, współczesny poeta chiński

Dzień – noc, w Pesach

Noc nadchodziła lekko, szeroka jak lustro, korzenna.
Lecz wszechrzecz jest teraz cichą muzyką, jak szumiał
tłum, jak milczał.

Liryka, a jednak liryka przemawia tu horyzontalnie,
lecz półmrok znowu stoi za tobą.

I nawet gdyby mnie takim nigdy nie było, ani błękitu,
ani cienia, to nie powie mi o tym ta korzenna, szeroka
jak lustro noc, w Pesach.

mu!

To nieprawdopodobne, jak blisko jesteś,
kiedy pada śnieg.
Płatek to ty, płatek to ja, nasze ciche życie.
Nuty wielkich białych skrzypiec, które
zginają nam karki i odbierają mowę.
Jest mroźny czas serca, ubywa nam słów,
przybywa śladów.
To nieprawdopodobne, jak daleko jesteś,
kiedy przestaje padać śnieg.

Nieodróżnialna, niczyja?

Zamaskowana sowa śnieżna
wypełniająca adres drzewa:
list napisze ten, kto przemierza
długi zimowy wers.

Ta obecność mądrzy się nieodróżnialna,
lecz rok prószy wokół i jest niczyj.
Po długim śnie, kochana, po długim śnie,

może zobaczę cię tam.

Prawdziwa historia, w podskokach

Szepty mnie widzą kiedy chowam się wśród ptaków
Galilei / ich język jest drobny i chropawy, lecz mimo to
rozumiem te konstelacje nikłych poruszeń / tajemne
wzorce agau, ich szorstki zapach / i tylko to zasluchane
niebo mnie nie dotyka rozwieszając prawdy z dala od
cienia / choć to ja dotykam jego nie rozpoczynając ani
jednej myśli / i tylko to popołudnie jest suche i nieporuszone /
i nie zmagaj się z tym, bo tylko ty wiesz co jest dobre
ktoś kiedyś powiedział a może tuż obok przed chwilą /
pomiędzy jednym podskokiem a drugim / gdzie pył
jest także prawdziwą historią

Galilea 2014

Tak powiedzą

Moi rodzice leżą po śmierci rozdzieleni, jak za życia.
Kiedy odwiedzam matkę, jestem jej synem, kiedy odwiedzam
ojca, jestem jego synem. Gdyby leżeli razem, miałbym rodzeństwo.
I tak rozdzielam wizyty nie rozdzielając ich nawzajem.

Moja matka wychodziła często w modlitwie, mój ojciec wychodził
z domu, aż któregoś dnia nie wrócił. Ja wychodziłem z ich słów
tak długo, aż umilkli oboje, naprzód jedno, potem drugie.

Matka mówiła językiem dawnym i pokaleczonym, ojciec przeciwnie,
mówił językiem rzemiosła, topornym i przyrodzonym. Moja mowa
jest nieukończona, wychodzi z postanowień i wraca w złym stanie.

Moi rodzice mówią teraz jednym głosem. Ich język jest przeźroczysty
i opuszcza swój wiek. Czasami go słyszę w refleksach światła na wodzie,
jeden błysk to a, drugi błysk to b. Fala to opowieść, mewą to przecinek.
Epilog – to ja.

Ci, którzy przyjdą po mnie, powiedzą po latach, *to było przecież tak dawno*,
powiedzą *kiedyś, dziś morze jest takie spokojne*,
powiedzą, *chodźmy już*.

Waldemar Jocher

Łącznik

dwuplemienna transmisja *i teraz*
staje się padliną. czystość tego łuku
trafia w nas z odbicia, w samym środku
wielościanu wiszą ściegi rozszytego mózgu.
bywaliśmy przeszyci masą nitek. ścigamy się tylko

i tylko jeden raz przed zetknięciem z głuszą uszów.
odwracamy się dwukrotnie, stopy liżąc śladem
z oka. spaść potrzeba, by pochwycić tkanki
(a jeśli nie ma czego już odrąbać linio?)
w podwojony korpus, jednolity port.

homo quaerens

śpisz w brulionie głodu. kładę język nabrzmiąły,
który nabrał się na jedyny kierunek wielu nocy.
naruszenie proporcji śniącemu jawi się *tym*, o co
pyta pytanie. bytuje wszystko, więc i ja uciekam
zakryty, zakończony, za naszą i waszą chmurą.

która jest pochodnią głosu – który jest pochodną
rozwidnień liter, jakich nie było dnia pierwszego.
to jedynie widmo napoczętych zmas, co dojrzeją
w brakach *reszty*. wciąż się uczę mowy wstecz.

membrana

lecz serdeczny świt osamotnia ranę, z której droga.
a o której wiem, że gwiazdy jest splątaniem: z_ jem,
z_ wiem, że zdziwienia: kości widnokregu w kościół
przybieram
następnie
ubieram, się zbieram, zamieram i z_ mierzam
bo potrzeba jest w mowie i mowa w potrzebie – ośliń
oś_____ lin
idących za mną przeciągającą się w wodach *niczego*.
rój os
ta
t
ni_____ j
raz ostatni płaszcz osamotnienia małej wieży śmierci:
rozwieszam ją *temu*, który świeci i chce się rozpisnąć.

Trzy wiersze z nowego tomu *INCIPIT*,
który ukaże się wkrótce nakładem
Instytutu Mikołowskiego.

Ogród rozkoszy ziemskich

a to usychające drzewo pośrodku ogrodu rozkoszy powiesz mi po co?
po co ten gad o jedwabnym głosie wyjętym prosto z reklam permen king?
po co? a jakby tego mało było ta panna naga bez welonu
poczęta z boku mężczyzny którego tworzyłeś incognito chowając się przed
wścibskimi aniołami aby nie wyszło na jaw że lepisz go z byle jakiej gliny
przeznaczonej na straubale człowieczego losu tak po cichutku aby nikt cię nie
przyłapał na gorącym uczynku ponieważ z góry założyłeś jaki będzie finał tej
zabawy w raj dziwić się przy tym dlaczego nikt nie chce uwierzyć że puzzel
twojej wszechwiedzy w czarną dziurę wpadł bez dna!

pytać się
po co?

i w ten o to sposób skończyłeś wszystko nim cokolwiek zacząłeś!
więc nie doszukuj się winy w nas aby ratować swą nieskazitelną świętość
świecą niczym wszystkie nowalijki edenu na targu wrzasków zakapturzonych
teologów o pustych oczodołach których ślepotą zmusza nas dźwigać krzyż
jeden krok poza ludzką wytrzymałość! przecież ta gra od początku była nie fair
skoro grałeś znaczącymi kartami predestynacji!

po co to wszystko?

to przecież takie *niepobożemu* nielogiczne i niehigieniczne takie...

a więc nadszedł czas nihil obstat aby zadać odważne pytanie
jak to jest być dobrym ojcem i złym demiurgiem naraz?

spójrz pojawiaamy się i znikamy każdy w swej mydlanej bańce
poznania dobrego i złego z wyblakłym śladem raju w bruzdach naszych
zmarszczek...

twój fermentujący słodko raj stał się przekleństwem naszym!

tak to nasz świat a nie twój raj! świat w którym dawno wywietrzały twoje
reminiscencje w nas! ale nie mów nic! nic...

wsłuchaj się z jakim oddaniem śpiewamy ci *gloria gloria in excelsis deo!*
gdyż jedno jest pewne jesteś święty tylko wówczas kiedy figowym listkiem
zasłaniamy nagość naszej wiary

.....

Pielgrzym z Ur

kazałeś mi

opuścić dom rodzinny w ur chaldejskim

dom ojca mego tetrarcha

mędrca astronoma mistrza retoryki

promieniującego blaskiem wiedzy

niczym księżyc w pełni nad pustynią al-rab al-chalii

więc poszedłem za twą obietnicą jak chciwiec za brzękiem złotych monet

obuty w znoszone sandały wiary z piaskiem pustyni w ustach bym nie mógł

utyskiwać na swój starczy los nocami smagany przenikliwym wiatrem twoich

słów wpatrywałem się w gwiazdy tęskniąc za chaldeą ojczyzną wyroczni
i astrologów a ty mnie sponiewieranemu dolą nomada kazałeś je liczyć tak
jakbyś nie mógł użyć innej paraleli przecież jako jedyny pośród moich bliskich
zawierzyłem tobie oczekując pochwał i słodsze miody...

...a ich ohydne bożki spaliłem nocą by zerwać z religią przodków nie będąc
świadom że w ogniu pożogi zgładzę harana brata mego!
potem zamiast gwiazd kazałeś liczyć ziarnka piasku którymi plułem wraz
z krwią mojej odtąd przetrąconej wiary...
bo czyż nie obiecałeś zapełnić kołczan mój synami?
więc nie obiecuj już niczego otwórz tylko łono żony mojej saraj zamknięte
ponoć mocą zaklęć mściwych magów z ur
a zrobię to bez twego udziału...

...i nie wódz nas po pustyni a raczej zbaw nas od płonnych nadziei

amen!

.....

Dżambia

dżambia wygięty niczym róg barani na biodrze mego ojca którego miłości
byłem pewien jak słońca na niebie nie zadawałem więc pytań czy ty mnie aby
kochasz skoro ten zakrzywiony nóż miał być jej dowodem
postrachem dla wszystkich mych wrogów
dla złych spojrzeń
szakalich i
wilczych...

ojcze abrahamie
wciąż słyszę głos twój niczym wiatr pustynny
tak kocham cię bardzo
lecz nad ciebie –
wybacz mi mój synu –
wszechmocnego kocham boga!

dlatego zawsze widzę ten szpon nad wątłym moim ciałem
i słyszę przeraźliwy płacz matki z zaświatów
kiedy obudzonego koszmarami nocy
nadaremno próbuje
pocieszać

dziś wiem że wiara jest wiarą wówczas gdy obrać ją z szaleństwa
a dżambia mój ojciec żadnym jej wyrazem
lecz twego obłądki koronnym
dowodem

Farsa

Rozstać się to jak zrzucić kogoś ze schodów,
tylko kobietom bardziej do twarzy ze śmiercią
niż ze łzami.

Dlatego Orfeusz chciał zobaczyć Eurydykę
– musiał wiedzieć, zanim weźmie do domu,
czy histeria nie zmieniła jej pięknej twarzy.
Gdy mówisz, że odchodzi, to nie jest tragedia,
co najwyżej dramat, a i tego niepewnym,
wszędzie szukam załączka komedii.
Wszystkie ścieżki, którymi odchodzisz,
prowadzą prosto pod moje okno.

Drugi brzeg

Nieczęsto patrzymy na drugi brzeg.
A kiedy film głupi, bo polski, przypomni o jego istnieniu,
wtedy pytasz, czy i tam pójdziemy razem.
Kiwał głową, ale nie wiem, ściskam dłoń bez słowa.
Śmierć jest zła, że zawsze i wszędzie musi chodzić solo.

Treściwe pożegnanie

w tym mieście nie ma ani jednej rozsądnej osoby
spakowałem walizkę i nie zamierzam wracać
w tym mieście nie chcą się szczepić szczepionkami
umierajcie mówię
w tym mieście nie chcą zakaźnego homoseksualizmu
a nade wszystko nie znoszą myślących kobiet
nie przeszkadzają im toporne zmiany
na deszcz z gówna rozpinają babcine parasolki
bo na szaroburym wzorku nie dopatrzysz się plam
spakowałem walizkę nie próbuj mnie zatrzymywać
nie kuś mnie wąsem Piłsudskiego nie kuś Szymborską
tu ludzie palą z myślą że od jutra rzucają
jak już palisz do jasnej kurwy to z premedytacją

Przy pomocy życia fit

Czy możesz ułożyć mi dietę?
Nocami strzygę mały,
straciłem kontrolę nad życiem.

Pierwszy raz zobaczyłem
bilans mikroskładników i
dowiedziałem się o kaloriach;
tajemnica bolesna glutenu.

Tęsknię za dawnymi dniami.

Teraz nie mogę o trzeciej
podgrzewać pizzy,
nie zrobię pysznego sufletu
przed świtem.

Samoświadomość kosztuje,
zdrowy tryb życia wjechał
w skórzanym płaszczu z SS.

Gry i zabawy

schowany w forcie
za ścianą z poduszek
liczę do trzyna i szukam
sensu albo chociaż
czegoś słodkiego
nie liczą się owoce
ani prażony ryż

byłem odrzucony
byłem wybrany ostatni
byłem na bramce
trzepak się ugiął
pod złotymi myślami
żadnej z nich
już nie pamiętam

wchodzę na drzewo
tamtego dnia deszcz
szklanych kulek
spadł z rozerwanej
kieszeni
zamknij oczy otwórz
buzię

podłoga to lawa
a ja chcę się położyć

Millenialsi

ciężko im wytrwać w związkach
piją sojową latte i jedzą tosty
z awokado
wszystko jest im dane
nawet nie próbują
zasłużyć na miejsce w szeregu
bo wysiłek to pierwszy krok
do porażki
uzależnieni od mediów
nie potrafią nadać im wagi
dlatego replikują siebie
nieczytane i zapomniane
dzienniki codzienności
oczekują szybkich efektów
przy małym nakładzie pracy
kim są?
nikogo takiego nie poznałem
czarne lustra telefonów mają
doskonale upiększające filtry

5. Formuła Eden

Gdy przyjdzie pora, przykryjcie mnie płytami,
aby miał czego słuchać w drodze do niebios.
Nie będzie już zmartwień, kiedy się zmartwię.
Lecz, póki żyję, trzeba taszczyć te głazy,
i nie ma, że boli, uwiera, naciąga mięśnie,
jak dziecko swoich starych na kupno zabawki.
Kilka minut z tobą to najlepszy prozac.
Najsilniejsze lekarstwo na podłą depresję,
wstrętny brak chęci, aby wziąć byka za rogi,
i wyjść z corridy niezbitym, nietkniętym.
Ścigają się żółwie z całą zgrają chartów.
Popękane skorupy pójda do kasacji.

8. Hejtowanie śmierci

Ale się wybawiłaś, wyszalałaś, normalnie – jazda na całego,
chyba wystarczająco zaspokoiliś apetyt i głód rozrywki?
Może sobie odpoczniesz, kopyta wyciągniesz, obejrzyś telenowelkę,
wiadomości, pętlę reklam, od których aż chce się zawisnąć,
i podduszysz się poduszką, ściskając za łapkę pluszowego trupka?
Dlaczego ciągle chcesz jeszcze nas i siebie zamęczać?
Co roku zbierasz żniwa, o jakich rolnicy mogą pomarzyć,
a nie dostajesz dotacji, nowych maszyn, nie gnębi cię susza.
Neurodzaj to dla ciebie abstrakcja czysta jak bimber.
Możesz wypierdalać, a nawet umrzeć, jeśli wola.
Nikt po tobie nie zapłaci. Pytanie – czy możesz?

9. Histeria najnowsza

Każdorazowo przeżywana apokalipsa i ponowne stworzenie.
Bilans ujemny. Wciąż na minusie. Życie wzięte na zeszyt,
na krechę. Właściwie wszyscy znajdziemy się pod kreską,
uciągniętą do nosa przez jerychońskie trąby powietrzne.
Skończą kontynenty są w kryzysie, to nie ma wstydu,
że trafił się mniejszy, pojedynczy, ziemia staje się
miękką jak plastelina, a bieżnia, po której biegą gryzonie,
zaczyna zmieniać się w ruchome piaski. Utońmy. Wsiąknijmy.
Przegrajmy młodość jak akcje na giełdzie. Na stare lata
gorzki medal z czekolady i złote krzyże singielskie.
Kawalerowie wymarli. Najnowsza historia popada w histerię.

23. Recytacja

Motto: „*Dziobu, co się gapisz, co? Zapierdalać tekst!*”.
K. Globisz w filmie „Superprodukcja” J. Machulskiego.

Rzeźnia, gehenna, droga przez mękę,
wyciskanie emocji jak kwasu z cytryny,
to jak mówić do jarosza o schabowym,
mizdrzyć się do wrogów, którym najchętniej
przywaliłoby się w zęby, żeby nie był
taki w stanie wstać na baczność do apelu.

Nie ma nic gorszego od egzaltacji,
wzdychania, jęków i podniesłego tonu.
Wszystko, co ważne, żyje we wnętrzu,
a to co jest poza, nie nadaje się do ludzi,
jest nagością ledwie zakrytą szmatami,
co wywoła rechot nawet wśród nudystów.

43. W chwaście wieku

Sny. Bestia, która się w nas budzi, gdy zasypiamy.
Sandor Marai

Zbudzone bestie ruszyły na polowanie.
Zlepiają szponami bałwana z popiołu,
kiedy sny opadły jak śnieg zeszłej zimy.
Belfrzyca w czerni jest zawziętą żołną,
co naucza jak kwitnąć w chwaście wieku,
nabierając ogłady stosownie do wieku
trumny skrzypiącej jak obolałe kręgi,
i gruchot kostek, gdy głąz zbyt uwiera.
Jakże Syzyf radosny, że znalazł frajerów,
którzy są mu podobni w codziennej rutynie.

47. Dobre pochowanie

W twarz trzeba huknąć tej podłej Kostusze,
co wlecze się namolna, płacze i żebrze,
choć wie, że nie dostanie niczego po dobroci.

Bierze samowolnie, jak to czyni skarbówka,
ciągle jest głodna naszych ludzkich danin,
chce dorównać rządowi w wymuszaniu ofiar.

Nie nasyci jej bochen świeżutkiego chleba,
krojonego przed zgonem, pieczonego post factum,
sproszkowanego w urnie jak w puszcze po coli,

którą można postawić obok ślicznych trofeów,
błyszczących pamiątek po licznych zawodach.
Wzorem pytonów – gruchocze i połyka w całości.

Nie mozoli się z nożem, łyżką, widelcem,
ani nie dba o zestaw wyuczonych manier,
tak jak człowiek o pozór dobrego pochówku.

Mariusz S. Kusion

Błąd w sztuce

niepokoje społeczne opanowały
najdalsze wyspy i terytoria zależne
od mojej intuicji

widzę stygmaty i etykiety
czytam znaki towarowe i użytkowe
wzory obrócone w nazwisko
rozwiązania systemowe

na publicznym autoportrecie

gdzieś w rogu toczą się wojny kolonialne
zamienione w romantyzm z kroniki filmowej

tutaj uwiera osad po byłych planach

Wsteczne przestrzenie

telefon puchnie od numerów

które zostawiono tylko po to by ich nie odbierać
nie pomoże żaden pełnomocnik do spraw zwierzeń
trzeba spojrzeć prawdzie w oczy bez makijażu
biomet był korzystny a niebo bez rys i na gwarancji
w radiu mój idol grał pośmiertnie nowy hit
znowu nie wyszło – litery sypią się z wyrazów
za dużo było napojów gazowanych
o smaku winy

przy umiejętnym zaksięgowaniu
po stronie kosztów
to wyłącznie (kolejna) luka w sztuce
nauka o sobie przed lustrem
było sobie życie przedgrobowe
teraz unosi mnie gorzkie światło
które jest tylko brakiem ciemności
szukam drugiego dna i znalazłem
jedynie pierwsze

drzwi skrzypiały w pamięci
gdy odcedzałem wrażenia

Niezbędnik

bankowe love story skończyło się nagle
wraz z drobną czcionką w kolejnym aneksie
kupiłem instrukcję montażu rzeczywistości
jak mebli z Ikea (aby żyło się lepiej)

łatwiej je sprowadzić niż cud gospodarczy
do państwa nadopiekuńczego
gdzie złote żyły prowadzą donikąd
orientalne bogactwa wylewają się
z serialu w najlepszym czasie antenowym

można spotkać siebie prawie na żywo
dzięki tanim lotom do światów równoległych

umysł powoli przeżuwa i przeżywa od nowa
każde słowa które nie padły choć powinny
podczas publicznej debaty o nowelizacji
w prawie pracy dla zbędnych inteligentów

kwaśnego

niebo kwaśniej w rękach kończą się mapy
myśli ścigają pamięć fotograficzną
po ścieżkach dźwiękowych

to nic takiego przecież
światło do picia jeszcze nie zwietrzało

z nowym wiatrem pora zachwycić się od nowa
odnalezionym kolorem i nagraniem demo

demony piszą pamiętniki w wysokich nakładach
piętrzą się formy kostnieją kontrasty i alter ego
spaceruje po podwójnym dnie z głową

w chmurach wypchanych magnetyzmem

dźwięczy każda funkcja i fraza wdzięczy się
każdy wątyły wątek dobry na dobry początek
najwyżej wykona się remiks

ARMIE OŁOWIANYCH ŻOŁNIERZYKÓW

po obu stronach ulicy zgromadziły się armie. mundury
schowane w plecakach lub w podręcznych torbach. sztandary
gotowe do wciągnięcia na maszt. obie pewne zwycięstwa.
ćwiczą krok defiladowy. czekają na właściwy moment
który nie wiadomo kiedy nadejdzie. ludzie przechodzą
pomiędzy nimi robią zakupy w sklepach na wypadek wojny
i na wszelki wypadek. pozostali w domach zasłaniają okna
wyłączają telewizory i radia. przestają ze sobą rozmawiać
lub robią to szyfrem. dzieci nie chcą już bawić się ołowianymi
żołnierzami. wolą gry komputerowe w których sami
ustalają zasady.

powoli pustoszeją ulice. żołnierze rozchodzą się do domów.

GRY WOJENNE

wojna przypomina małą dziewczynkę. przeskakuje z nogi
na nogę. z państwa na państwo. raz dwa trzy jutro
ty. dołączają chłopcy. zakładają polowe mundury. zamieniają
drewniane karabiny na wyrzutnie rakiet spadły z jabłek
na granatniki. rany malowane sokiem malinowym na kikuty rąk
i nóg. raz dwa trzy jutro dziesiątki tysięcy sierot i bezdzietnych
rodziców.

za jednym przyciskiem joysticka

KRAJOBRAZ PRZED BITWĄ A MOŻE WOJNĄ

siedzę przy biurku i piję kolejną kawę. spoglądam na czystą
kartkę na której za chwilę może przysiadzie zbłąkany
wiersz. nie myślę o nadchodzącej wojnie ani
o planowanej bitwie. zapasy nieprzygotowane schrony
niezabezpieczone mundur czeka na wyprasowanie. siedzę
przy kawie jakby nigdy nic a wokół biegają komunikaty
spłoszone lub groźne na przemian. radio wyłączone – nie słucham
w telewizji ślinią się politycy – nie oglądam. jakiś wojskowy
przebiegł przez pokój wypił dwie setki i pobiegł dalej na kolejne
stanowisko. a tu wódka się kończy zapasy niezrobione

i te ciągle komunikaty

SIEDZĘ NA TARASIE I CZYTAM KACPRA PŁUSĘ

siedzę na tarasie i czytam kacpra płusę.
przelatujący gawron kreśli czarne refleksy liter
na żółtych kartkach. w krzaku hortensji skryła się frida kahlo.
uciekła ze strony numer 51 i maluje obraz ze sobą w tle
rimbaud jak zwykle pijany bawi się statkiem jak małe dziecko
w oceanie piaskownicy. jakiś mężczyzna
tłumaczy mi że on też ma żółte papiery
na których jednak nikt nie odważył się napisać wiersza.
gromadzą się tłumy. przechodzę przez ich blizny
do kolejnych domów wariatów. piszę z nich listy uciekam
wracam po raz kolejny by zrozumieć że jest to dom bez wyjścia.
kacper wyciąga następnego papierosa. spalam się powoli. i tak pozostanie

tylko popiół

JESZCZE NIE MA WOJNY

jeszcze nie ma wojny. dopiero nadciągają armie
kalek z urwanymi rękoma nogami oślepionych
eksplozjami przerażenia. huk pryskających marzeń
rozrywanych na strzępy nienapisanych książek. jeszcze
siedzę przy piwie z kumplami z których niepostrzeżenie
mistrzowie od strategii biorą miarę na przyszłe uniformy.
przysłuchują się naszym rozmowom o dziecinnych
strzelaninach i pojedynkach na kije. wychodzimy na
słaniających się nogach. na ulicy dopada nas grupa

wojskowych lekarzy pytających o drogę...

ZABAWY Z OGNIEM

Pamięci Miszy Gajdy

coraz częściej staję się ostatnim przystankiem na drodze
dla umarłych. zjawiają się z plecakami ze spakowanym
życiem i siadają obok mego ogniska. czasem
nie wiedzą że to ich ostatnia baza. obiecują powrócić
z nowymi wrażeniami. częściej jednak spalamy się razem
i patrzymy czyj dym uniesie się pierwszy do góry. zawsze

pozostawałem tym który pilnuje ogniska.

A JEŚLI CHRYSZTUS POWRÓCI

boję się że jeśli Chrystus powróci – tak jak obiecał – nie będzie
miał Go kto przyjąć. będą organizować referenda albo obrady
w grupach i podgrupach sprawdzać czy jest
godzien zostać Zbawicielem. analizować pochodzenie pradziadka
i prababki po wszystkich możliwych liniach. badać kości
policzkowe kolor włosów oczu nawet DNA. staną po obu stronach
ulicy. będą wymachiwać transparentami za lub przeciw i nigdy się
to nie skończy.

a jeśli Chrystus powróci odejdę razem z Nim.

Janusz Radwański

Dawid country

Pan jest pasterzem moim.
pospołu tu sobie kowboim,
z lewolutrów szczelamy celnie.
Na prerii jak na patelni
albo też w Górach Skalistych
we wodę zmieniamy whisky.
Kowbojki, jak trzeba, nosim.
Nie musimy siał ani kosić –
jedziemy dzie oczy poniosą,
co począć mielibym z kosą?
Nie boim się wcale Apaczów.
Nie wiemy, czy jeszcze coś znaczą
pieśni śpiewane co rano.
śpiewamy, jak napisano.
Gapim, jak krowy się pasą.
I jakoś trzymamy fason.
On nimb ma, ja kapelusz
i nawet Jim Faryzeusz
mówi, że nic nam nie brak,
gdy z nudów liczymy żebra.
Ostróg nie mamy, bo po co.
Jedziemy tam, gdzie się niosą
psie wycia z zadartych pysków.
I księżyc, gruby jak biskup.

POEZJA
Agata Cichy

szkic o wnik

wstęp do imagineskopii środek ciężki/ości

hańba domowa nie wróży wielkiej kariery

Sendecki: niepojęte jest niepokupne

Się: chore jest leczone albo izolowane

niefeministyczny wiersz o szczytowaniu

ślepia kota wyszły z pyska i zaczęły krążyć po orbicie tęczówki

kot był czarny chociaż go nie było

model Rayid kwiaty z buntownika

wyłupiaste bielmo z przecinkami

faliste mgły pigmentów

wir w zapamiętaniu mięt mię taniu aniu niu u

bezzębna czarna łyka jedną po drugiej i po następ nej ejj

miauczą diakrytyczne

sierść w koci grzbiecie na sztorc

Lollo badacz O/nie/miał ałł

słona kropla na powiece druga w usta

z twojej skroni nade mną

Bunt w Łazni Nowej

dzisiaj jestem ubrana w cieliste rajstopy
i piersi
kazali Się wypiąć
NIE JESTEM ŚWINIĄ
NIE PRZEPRASZAM
wypinam
dyr. Morauskiego i wszystkich dyr.

Się przewracało

na stronę obraz
z fraz
02:20
translacja
nie/do/ z/wolona
Się w Się
ob/f/rzaz/

kopa z men/sza

Męż czy zna mówił do Sza fy
: bo ja, bo mnie, bo ze mną, bo be ze mnie bo
: czy ty mnie słuchasz?
Na to
: sza ci sza a fy suk spód nie bluz ko ron ki

Się ani z andersena ani z króla lwa

omija krople krwi na schodach
gwałcone butami ślepego
mi/ty nie idą w parze
na pla/ Nie pionkiem
grimmów i simpsonów
na scenę nie wchodzi Się bezkarnie
różom opadły
„tzy czyste/rzęście
na wiek mę/kłę/ski”

poetów w ogóle nie ma tylko alkoholicy uwielbiani przez kobiety nienawidzące pijaków

żyworódka kapusta na kłacie wypot z kłatu i flegm
wgrzyzanie i rozgryz wsiąkanie w Ew globus
przecież nie jest Piłatem ani On Mistrz Małgorzaty
choć kot by się przydał na dzień nocą noc świtem
– Dlaczego te ptaki tak się drą!
Azja zatknięta na pal dowodzi wyższości nad platanami
i klnie być posłuszną piorunem roz: d/w/A/o/rta
– Ty zbuntowana Lipko!
potem pije sok z lipy żar denaturatu kuje w tarczę
– Skórę masz tak delikatną.
Michale od medytacji Archaniele od wojen
na czas siekier mieczy i topo/r/sów
uwolnij od hordy poetów
w nie/dole/czonym
podmiocie

na Norwida Się szło w 27. stopniach C

lody na Baczu z niesprawnym Duchem teatru

: kobieta w podeszłym wieku. Iniane włosy. z opieki co kto da. lubi lody śmietankowe to postawiło Się bo samej jeść gdy ona palec bolący i do szpitala trajtkiem
A zamiast B

przy Marii Magdalenie szałet miejski

: przepraszamy zamknięte z powodu pogrzebu.

parzy mijają Się. w nieparach staruszki za balkonikami tuptup.

kluczyki do auta Się ma

: każdy ma takie wsparcie na ile babka wróżyła.

Się mija powstańców. jednego po prawej drugiego po lewej. obaj w marmurze

: że też ich ręka nie zaboli tyle lat na wysokości ramienia ten palec.

Się głosem zazdrości za zielonymi płotami.

cisza topnieje w Się. przy Norwida 17. zagłada w szyby by złapać cień 27. maja gdy wszystkie dusze przeklętych i świętych zacumowały w mlecznej brodzie
Karaska i płauiły

bezkarnie.

: gdyby tak móc rozłożyć w pracowni Czyżewskich swoje sztalugi pigmenty. wsiąknąć zapachem. szpachlą nadać kształt. fakturę zbudować ze znaczeń.

Się otwarto maszynę. żar. kierownica parzy palce. warkot. klimatyzacja. puls bitów. nie ma duchów. jest 28. dzień. do domu blisko. daleko do ścian.

late w Picolo. Się słowa zaciąga w płuca. wieczór. centrum. nic z Norwida.

kawiarni tetate terete

parostateczne mamtaty

babdziadzie grr ech och

podlatki niełatki

ofkoz sorry

: Ukraina jest wciąż na wschodzie. Mikołaj. Czeczeniec. a Walery jest taki cichy. bo z Rosji. na zachodzie tylko w Monachium leją piwa ile dusza zapragnie i
kieszeń nadąży.

: do czasu będę ostrożniejsza a później pewnie znów naiwna jak dziecko. pójdziemy przez park. nigdy tam nie byłam.

: proszę pani to nieładnie tak podsłuchiwać. pani wraca na balkon kwiaty podleje bo upał zemdlił. pani nie utyskuje na ściany. przeczyta książkę. sprawdzi
testy. poprawi grafomanię wrzuci konkret na fejsa i nie siedzi do rana. bo o 7.00 pobudka.

Się wróciło. papieros. Dym. wkurz i na cygański balkon. Z Norwida Leo Lipskiego od wczoraj bo Kafka. Schulz. Hłasko. Milczewski-Bruno. wszyscy święci po
paryskiej stronie strofują korony platanów. tylko ten co *Przyszedł chłostać morze. wiedząc radosną* odjechał 11. zerocoś w stołeczną balię. *Czas ma Go*. Się
nie ma Norwida. Czasu. Się zaSzło

: kochać siłom i godnościom osobistom woli

Się idzie.

Jarosław Nowosad > Recenzje Poetyckie

Projekt metafizyczny



Marek K. E. Baczewski:
Projekt „Orfeusz”; Instytut Mikołowski, 2016.

Kiedy nową książkę wydaje autor mający już pewien dorobek twórczy, zazwyczaj istnieją dwie możliwości. Pierwsza: autor konsekwentnie podąża wyznaczoną przed laty drogą, kontynuując i, najlepiej, rozwijając typową dla siebie poetykę. Druga: autor zaskakuje czytelnika i – recenzenta. Czasem jednak zdarzają się publikacje wykraczające poza ten dualizm.

Marek K.E. Baczewski przyzwyczaił nas do bycia – jak go ostatnio nazywałem – „poważnym kpiarzem”. Kpiarzem o zacięciu filozoficznym, kpiarzem-erudyta, w którego z pozoru niewinnych wygłupach słownych piętrzą się aluzje do dorobku kulturowego wszystkich epok; ironistą dobroliwie uśmiechniętym do książek stojących na półce. Tym jest Baczewski-poeta (dość wspomnieć takie tomiki, jak *Kassandra idzie przypudro-*

wać nosek, czy *Morze i inne morza*). Tym pozostaje też jako prozaik, felietonista, a nawet – w pewnym stopniu – również w roli eseisty.

W nowym tomie wierszy Baczewskiego, zatytułowanym *Projekt „Orfeusz”*, znajduje się parę wierszy, w których znajdujemy poetę takim, jakim go znaleźliśmy. Takim utworem jest „Mowa”, ciąg przekornych wariacji na temat znanego przysłowia. Punkt wyjścia: „Mówią, że mowa jest srebrem, / a milczenie złotem. / (...) Gdyby o tym milczeli, / byłoby to bardziej wiarygodne” – a dalej jest jeszcze zabawniej i bardziej ironicznie. Dobrze znajomego Baczewskiego spotykamy w uroczo makabrycznym „Śledztwie w sprawie życia”, w „Próżni”, nawet w „Przepaści” itp. Są to w miarę rozbudowane monologi, w których erudycja nieustannie bierze samą siebie w cudzysłów. To jakby parodia hesse’owskiej „gry szklanych paciorków”,

sprawdzająca do absurdu sztukę eseju rozumianą jako poszukiwanie odległych, acz trafnych analogii. „Stary, dobry” Baczewski, być może jedynie w odrobinę bardziej skondensowanej formie...

Na pierwszy rzut oka to samo dzieje się w kilku innych, podobnych w budowie utworach. Weźmy chociażby wiersz „Na początku było zamówienie na słowo”, którego sam tytuł wskazuje na źródło inspiracji – tekst jest stylizowany na odredakcyjny komentarz do pierwszego rozdziału Ewangelii św. Jana. Przy powierzchownej lekturze nie dostrzegliśmy, być może, nic ponad satyrę na płytkość myślenia (ewentualnie beznamiętność) co niektórych redaktorów. Oczywiście nie nabieramy się na to i czytamy uważnie. Wówczas wersy: „sześć liter, / to nam rozwali kolumnę! / Niech Pan napisze pełnię / na pięć liter” tracą na absurdalności, skoro znajdują konkluzję: „świat i słowo, / to ma być coś z tego i coś z tego” okazują się bez białych rękawiczek dotykać metafizyki. W tym zaś kontekście nawet „Coś nie gra”, poetycki traktat o... swędzeniu, okazuje się nie być tak blahy, jak się z początku wydawał.

Projekt „Orfeusz” jest projektem metafizycznym. Przywołanie mitu o starożytnym protoplaście Dylana i Okudżawy nie służy tu – jak można by się spodziewać – jedynie do rozważań o istocie sztuki. Tym, owszem, autor również się zajmuje – jako pewnym szczególnym aspektem szerszych rozważań – w cyklu „Ars Poetica”, przede wszystkim w utworze „Ars Poetica XLIV: Orfeusz” (i w komentarzu do niego pomieszczonym na końcu książki), a także „Ars Poetica LII: Poeta”, „Ars Poetica LIII: Kiedyś byłem młody” itp. Wszelako Baczewskiego dużo bardziej interesuje wyprawa poety-muzyka do Hadesu.

Tytułowy wiersz tomu wydaje się kluczem do całości. Zestawienie dwóch, można by pomyśleć, nie mających ze sobą nic wspólnego obrazów – poszukującego ukochanej Orfeusza z biblijną żoną Lotą patrzącą na zagładę Sodomy – prowadzi do pytań o śmierć i eschatologię. Ta pierwsza jest pewna, kwestia tej drugiej pozostaje nierozstrzygalna. Eurydyka przypomina Beatrycę, ale nie tę u Dantego, tylko tę u Lechonia – jest, bo jej nie ma i vice versa – ostatecznie okazując się... kotem Schrödingera (co znacząco współgra z Dickowskim mottem książki).

Pytania metafizyczne nie prowadzą do pewności, lecz do jej braku. A jednak nie można przestać ich zadawać i na tych właśnie pytaniach opiera się cała zawartość książki. Pytania dotyczą istnienia – nie tylko Eurydyki, lecz wszelkiego istnienia niematerialnego. Można o tym mówić kpiąco, jak o pojęciach abstrakcyjnych w „Coś nie gra” – skoro „swędzi”, zaraz nasuwa się pytanie, czym jest „to”, które swędzi. Podobnie pyta się o możliwość poznania, wreszcie – wypowiedzenia. Temu ostatniemu poświęcony jest cykl „Ars Poetica”, którego sednem – nieprzypadkowo – również jest wiersz o Orfeuszu („Ars Poetica XLIV: Orfeusz”). Przytoczony w nim zostaje – ach, ta intertekstualność! – fragment jednego z „Sonetów do Orfeusza” Rilkego. Odautorski komentarz do „Orfeusza” jest cokolwiek nihilistyczny: „Tak naprawdę poezja polega na kłapaniu paszczą i produkowaniu wiatru”.

To wszystko nadal mieściłoby się w „baczewskiej” wizji świata, języka, kultury. Są jednak w tomie wiersze, które niepokoją. Wydają się być pisane zaskakująco serio.

Zaliczyłbym tu po pierwsze tryptyk „Trzy wiersze o Łące Leśmiana”, stanowiący rodzaj przewrotnego komentarza do cyklu „Ars Poetica”. Nagromadzenie neologizmów i gier słownych początkowo wydaje się służyć jedynie zabawie literackiej, polegającej na parodiowaniu stylu Leśmiana. Jednak przywołanie tego właśnie twórcy – odznaczającego się wyjątkowo kreatywnym podejściem i do języka, i do świata przedstawionego – czyni go wyraźną antytezą dla Orfeusza. Słowo ani nie „pochwyty” rzeczy, ani nad nimi nie zapanuje (vide: „Akt oczywistości”), jednak może je stwarzać. „Patrz mnie, bądź mnie. / Jestem twoją łąką. // Nigdy mnie nie powiesz, / ale możesz mnie biegnąć”. Łąkę można było wszelako napisać, pisząc *Łąkę*. „Oto jest łąka – cień bez rzeczy / w drodze do słońca. / Świat, którego nie ma”. Możliwość powoływania do życia rzeczy nieistniejących, moc stwarzania – oto prawdziwa siła słowa (i literatury).

Jeszcze bardziej „inna” – choć również zachowująca podstawowe cechy poetyki Baczewskiego, na czele z tu i ówdzie obecną ironią sformułowań – jest niewielka grupa (rozrzuconych po książce) wierszy nietypowo dla niego lapidarnych. Co więcej, mimo wspomnianego sarkazmu, liryki te zdają się całkiem już poważnie traktować o zagadnieniach metafizycznych. A już szczególnie o metafizyce języka.

„Wiersz o czekaniu”, a następnie „Drzwi”, eksploatują blake’owski motyw „drzwi percepcji”. Konstatacja, że „zamknięte są otwarte, / a otwarte – zamknięte” bezpośrednio zapowiada Eurydykę z wiersza tytułowego, obecną i zarazem nieobecną. Ale to jeszcze nie wszystko! Jeśli przez „drzwi percepcji” można patrzeć, ale nie można ich przekroczyć, to dlatego, że nie da się znieść dualizmu „ja – to”; postrzegający nie może zjednoczyć się z tym, co postrzega. W realnym świecie buddyjskie „tat twam asi” jest nieosiągalne. Inaczej w literaturze. Jak zaznacza „Komentarz do drzwi”, w dziele literackim zarówno opisujący (podmiot liryczny, narrator) jak i opisywane (świat przedstawiony) są wypowiedzane, a zatem są jednym. Dla sztuki granice percepcji nie istnieją – ona sama stwarza i przedmiot percepcji, i jej granice, i samą percepcję. W rzeczywistości „nic” to coś, czego nie ma, natomiast w języku „nic” to coś, co jest; słowo „Bóg” realnie nie jest Bogiem (przypomina się Cohenowski motyl), ale w literaturze słowo i rzecz stają się tym samym, bowiem rzecz istnieje poprzez słowo (por. odpowiednio: „Nic” i „Limbus verborum”).

Dotychczas Baczewski kpił sobie ze wszystkiego, co wątpliwe i nierozstrzygalne. Tym razem zdobył się na akt wiary, a jest nią wiara w akt twórczy, który kreuje własną, pewną (w swych własnych granicach) rzeczywistość. Nagle znalazło się więc coś, z czego kpić się nie da, gdyż jest zbyt integralne. Mowa może sobie być „trawą”, milczenie – „porządnym algańskim haszem” (por. „Mowa”), ale kreacja literacka jest dokładnie tym, za co się podaje.

Tych kilka krótkich wierszy uważam za najlepsze utwory w całym tomie. Czy zwiastują one przełom w pisarstwie Baczewskiego – nie podejmuję się dziś przewidzieć. Trudno mi sobie jednak wyobrazić, by na dłuższą metę pozostały bez konsekwencji. Tak radykalna deklaracja nie bardzo nadaje się na nic nie znaczący epizod. ●

Jerzy Alski › Recenzje Poetyckie

Philip Marlowe – powiedzmy. O poezji Sławomira Płatka



Cały świat jest jak ten, który opisał Raymond Chandler: czarno-biały, na ogół brudny, cuchnący, lepki. Poprzebijany tunelami, w których upycha się trupy – wszystkie. Ludzi, zwierząt, roślin, co tam jeszcze umiera czy też może umrzeć, z reguły zresztą zabite, a nie zmarłe. Z tych tuneli co chwilę emanuje jad, zaduchem rozkładu stając butem na grdyce tych, którym udaje się przeżyć. Hej ty, może znajdziesz, świetlik, studzienkę, krater? Pink Floyd jest do przecinka, po przecinku – Płatek. Philip Marlowe – powiedzmy.

Bowiem problem leży w tym, aby go ujrzyć. Świat Cywilizacji Zachodniej (celowo wielkimi literami) w swoim jedynie właściwym obrazie jest starannie ukryty. Nowy Wspaniały Świat okręcony jest warstwami sztucznie wytworzonych środków maskujących – niczym Salome zasłonami. Folia aluminiowa, papierowe ręczniki, potem taśma lepna, papier toaletowy, folia spożywcza. Superglue na spoiniach. Napisy i obrazki. Jakie? Stań na dowolnym placu dowolnej metropolii, obejrzyj wszystkie telebimy, obejrzyj wszystkie napisy. Jakim trzeba być... Herodem, aby zedrzeć fotoszopowe cycki, zderzaki, domokrażne hasła i pomacać ukryte pod nimi zagryziony tynk. Philip Marlowe – powiedzmy. Bo tam właśnie trzeba szukać Salome.

Pisanie uwag krytycznych o poezji jest kłopotliwe, bo nieuchronnie skazane subiektywizmem: osoby, interioru, chwili. Sposobem na to jest używanie wytrychów zamiast kluczy. Wytrych w sposób uniwersalny i pozapersonowy otwiera wszystkie zamki, klucz jest indywidualny i otwiera jeden zamek – tylko ten. Różnica jest mniej więcej taka jak między iluminacją a znajomością metody. Spróbuję kluczem, ale proszę pamiętać o wytrychowym zapachu ręki, która go trzyma, nawet jeśli nie jest to zapach postmodernizmu, aporii i tendencji dekonstrukcjonistycznych zawartych w ostatecznie krążących eholaliach (ostatnie jest cytatem – no, prawie).

W filmie „Wielki sen” w reżyserii Howarda Hawksa, do którego scenariusz, na podstawie powieści Raymonda Chandlera, opracował William Faulkner, brakuje mi jednej sceny. Złachany Humphrey Bogart wchodzi do swojego obscurnego biura. Na kanapie czeka Lauren Bacall, niespokojna i niepewana. Bogart przechodzi obok, mówiąc „nie przeszkadzaj mi teraz” – tak, jak można to powiedzieć do kota, kiedy wraca się złachanym do domu, a ten zaczyna swoje karesy: z lekką irytacją, ale bez zniecierpliwienia – kot i tak poczeka. Humphrey idzie do kantorka, nalewa sobie szklankę brandy, siada przy biurku, z szuflady wyciąga papier i wieczne pióro. Lauren Bacall cicho wstaje, podchodzi do niego od tyłu i obejmuje. Co chciał napisać Philip Marlowe?

(Swoją drogą, nazwiska wymienione w poprzednim akapicie mogą zważyć z nóg. A to raptem jeden film.)

„... a przecież ja
wygrywam te wszystkie cholerne wojny i co
i nic”¹

Może to?

Na dwunastej stronie: my walczymy i oni walczą. Skala odwiecznej groteskowości walki („trupcy i siki zakopywaliśmy na grządkach”) dosięga szyderczej paranoi z pewnej powieści Osvaldo Soriano, w której bohater, pilotujący samolot, ma obrzucić bojówki wroga gównem, zgromadzonym w zbiornikach tegoż samolotu, bo zabrakło nabojęw i tylko gówno zostało. Sprowadza też wspomnienie Leonarda Cohena, który w późnych latach 60. w balladzie „The Partisan” próbował wyśpiewać podobny absurd, tyle że w sposób bardziej wzniosły. Płatek, pełen cynicznej czułości, skleja wikołem obrazy z pełnych telewizyjnej brei okopów, a potem upada w ton odmienny. Nieoczekiwanie.

„kiedy po nas przyjdą napiszcie
o nas taki wiersz jak my o nich”²

Ponieważ nie pisze mi się dobrze, spróbuję inaczej. Cytaty z wierszy będą oznaczać cudzysłowem z gwiazdką, bez określania lokalizacji pierwotnej. To są raptem dwa tomiki wierszy. „Stacja pomiarowa” i „Awaria migawki”. Sławomir Płatek. Każdy może sobie poszukać, jeśli się zaciekaui.

„pewnego dnia w rozprutej pomarańczy zobaczysz tylko zmasakrowaną tkankę i będzie wszystko jedno czy to twoje czy moje wnętrze”*. Apollinaire, po zastrzeleniu kapelmistrza, obiera dla przyjaciół pomarańczę, której smak jest osłepiającym fajerwerkiem. Rzecz dzieje się na balu, który kołuje w otchłani czasów. Być może była/jest to inna pomarańcza, podejrzuwam jednak, że ta sama. Przy bliższym poznaniu? Czasu było w końcu dość – całe stulecie.

„pomyśl a ktoś narodzi się ze ścian”*. Wśród ścian wędruje bohater mikropowieści Carlosa Fuentesa *Urodziny*, materializując się stopniowo pomiędzy kobietą a mężczyzną, obecnymi w okolonej tymi ścianami przestrzeni, w różnym czasie. Staje się dzieckiem tego mężczyzny, albo tym mężczyzną, albo innym mężczyzną, którego jest dzieckiem. HAARP jest nowoczesnym mitem. „HAARP jest w każdym z nas i w każdym HAARP-ie jest każdy”*. Zaś opowieść Fuentesa kończy się tak: „Siger z Brabantu, znakomity teolog z paryskiego uniwersytetu, napiętnowany przez... Tomasza z Akwinu, uciekł do Italii, zamknął się w domu na przedmieściu Trani... i tutaj zamordował go ciosami sztyletu oszalały sługa Anno Domini 1281. Niektórzy kronikarze kwestionują prawdziwość tej daty”. Nazywam to ciągłością. Płatek pisze: „pomyśl że to co myślisz jest myślą jakiegoś Smitha w jakimś Gotham”*. Siger z Brabantu dzieli od Smitha w Gotham siedem i pół stulecia.

„równy samemu sobie”*. To tytuł wiersza. O człowieku, który we własnej galerii istotności, nie mogąc przestać wrzeszczeć i wyć, wkręca swoje usta w maszynkę do mięsa. Osiąga spokój, kiedy jego usta uwalniają go od

¹ z akt BUGd-III-5532-83(5)/12 (dalej niecytelne) – z tomu: *Awaria migawki*.

² 04:45 – z tomu: *Stacja pomiarowa*. Poprzedni fragment z tego samego wiersza.

siebie. Usta mówią, a on słucha – wówczas już może, bo nie jest swoimi ustami. „jestem kamieniem z ludzką twarzą nazywacie to pomnikiem”*. Tadeusz Borowski, trochę już zapomniany, napisał:

„i widzieć świat jak widzi posąg
co ma kamienne martwe oczy”

Inne wyrażenie tego samego. To Adorno sugerował porzucenie poezji, myląc zresztą pojęcia. Auschwitz nie stworzyli barbarzyńcy – zarośnięci pokurcze z jakiejś pustyni i puszczy, tylko rośli blondyni z centrum Europy. To w jakim kontekście pisanie poezji po Auschwitz jest barbarzyństwem? Równy samemu sobie – tytuł wiersza wydaje się mówić więcej aniżeli żądanie Adorna, przerzucające przynależny każdemu z nas ciężar na urojonych barbarzyńców. Moje usta, moje ręce. Mogę odciąć, mogę zmieść. Nazywam to przypisaniem odpowiedzialności.

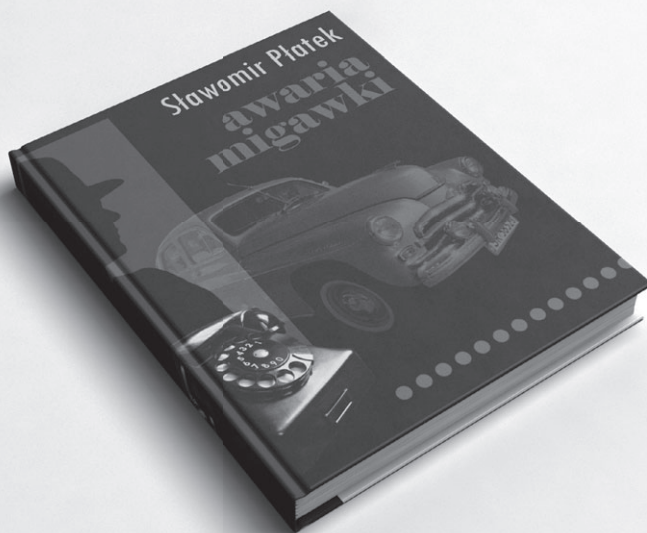
Kot z Cheshire. Najpiękniej pokazany w starym filmie Disneya, nawet lepiej niż w opisie Lewisa Carrolla – takie rzeczy naprawdę się zdarzają. Kot, rozmawiając z Alicją, znika powoli, aż w końcu pozostaje uśmiech kota – jak żółty półksiężyc tkwiący na drzewie. Kot jest widoczny w wielu miejscach: „trzeba będzie w końcu napisać (a zaprawdę będzie to koniec) nie żeby opisać nic”* – to ekstremum. „wszyscy którzy przeżyli niechaj chwałę pana porucznika”* – to gdzieś pośrodku. Redukcja wymiarów czasoprzestrzeni jest tym samym. „byłem czarno-białym zdjęciem i zbliżałem się właśnie do końca kadru niejasna ciemność”* i chwilę potem „bomby zniszczyły drogi ewakuacyjne ale nikt nie pamiętał wojny”*. Niby jak mieli pamiętać, skoro czas został wyodrębniony? Fotografia to fotografia – to chwila. Bohater porusza się pomiędzy sfotografowanymi wycinkami czasu: celuloid ściany, celuloid drzwi. Deklaruje, że jest światłoczuły i/ale domaga się światła – zabije go ono? Wywoła? Sprowadzi w czas? (Kapitałnym przeciwieństwem jest ostatni w tomiku: „przychodzi taki dzień kiedy stajesz na wzgórzu numer ileś tam broczyz krwią wszystko cię boli krzesło krzesło wbija się w dupę”* – odwrotne przemieszanie obrazków, tym razem z monitora, z absolutnie realnym bólem odcisków na tyłku. Najlepszym byłoby wleźć jakoś w program i wyciągnąć się na ziemi, pomiędzy jednym a drugim koszeniem barbarzyńców, ale: „w zimny dzień w pustym domu zawsze znajdziesz prześcieradło”* – to z tego samego wiersza).

Dosyć.

Kręcąc się po tych dwóch zbiorach, można to robić długo. Są (po wejściu do środka) niesłychaną inspiracją do poszukiwań. Nie są łatwe – frazy potrafią zachodzić na siebie, podbierając sobie wzajem fragmenty. Niejednoznaczność jest zamierzeniem – pierwotną dla siebie opowieść, nawet jeśli z pozoru szczegółową, wiersz ukrywa (taśma, folia, papier, klej), zmuszając wędrującego w nim do odpakowania zasłon bez dania gwarancji, że odnajdzie to, co zapakował poeta. Może znaleźć to, co w nim samym jest zapakowane, poeta tylko zasugerował żyłkę i nożyczki, nic więcej. W dwudziestym pierwszym stuleciu żądanie sekstyny dla oddania emocji i refleksji jego mieszkańców byłoby wynaturzeniem – choć jeszcze niedawno Ezra Pound próbował. Ale kiedy zabrał się za opisanie świata, wybrał ten właśnie, drapieżny styl, w którym dosłowność jest dosłowna, jedynie wędrowca po tekście ma do niej dostawić własny obraz – własne analogie. Wymagana jest sugestywność co najmniej klasy „Cantos” i wymagane jest poszukiwanie kontynuacji. Biorąc pod uwagę to, co pomiędzy Freudem, Malinowskim, Hanną Arendt i Einsteinem – a to jest ostatnie stulecie – nie należy oczekiwać, że poezja to wygładzi, albo ucieknie gdzie indziej, choć nury takie (pisanie „zrozumiałym” językiem) są oczywiście obecne. Nie boleję nad tym – telewizja i czasopisma ilustrowane muszą też czymś się żywić. Natomiast poszukiwanie kontynuacji na miarę czasów? Proszę bardzo – jest. ●

Fragmenty wykorzystane w tekście, wyodrębnione cudzysłowem z guiazdka, pochodzą ze zbiorów poezji Sławomira Płatka: *Awaria migawki* (Gdańsk, 2012) i *Stacja pomiarowa* (Poznań, 2016).

Osobno chciałbym wyrazić swój zachwyt ilustracjami Władysława Edwarda Gałki do *Awarii migawki*. Kreska nawiązująca trochę do Massona, trochę do Picassa, delikatna i silna, obdarzająca każdy rysunek głębią, jeśli tylko zmrzucić oczy. „Szalona Greta” na czterdziestej trzeciej stronie jest figlami niezrównanym i podejrzewam, że podobnych jest więcej. Znajdę czas i poszukam.



Dramat daremności



Petr Hruška: *Darmaty*
przekład: Franciszek Nastulczyk;
Instytut Mikołowski, Mikołów, 2017

Gdybym chciał szukać polskich „patronów” poezji **Petra Hruški** (a nie wykluczam, że tacy mogą być), byłiby to po pierwsze jego pokoleniowi rówieśnicy – poeci związani niegdyś z czasopismem „bRULION”. Po drugie – Tadeusz Różewicz. Po trzecie – neolingwiści z czasów Nowej Fali.

Kusiło mnie, by dodać do tego jeszcze pierwsze pokolenie lingwistów, bowiem tytuł wydanego przez Instytut Mikołowski tomiku, *Darmaty* (sic!), wzięty z przesłyszenia, jednocześnie otwiera zupełnie nowe pole semantyczne. Wydaje się jednak, że takie przekreślenia równie mocno zakorzenione są w kulturze czeskiej: źródłem Hrabalowego „pabitela” było wszak przejęzyczenie jednego ze znajomych pisarza.

Neologizm „darmaty” przywołuje na myśl rzeczownik „dramaty”, ale też przysłówkę „darmo”. Wobec nieznamości języka czeskiego nie potrafię orzec, czy i w oryginale budzi również, jak w polszczyźnie, skojarzenia artyleryjskie. W każdym razie „darmaty” odnoszą się tutaj nie do rodzaju literackiego (praktycznie nie ma w tomiku utworów udialogizowanych), a do dramatycznych sytuacji. Również „darmo” nie sugeruje raczej niczego bezpłatnego, tylko daremność. Dramaty daremności, być może tragizm samej egzystencji – taki jest przewodni motyw tomu.

Jeśli porównałem Hruškę z „brulionowcami”, to po pierwsze dlatego, że jest on poetą mocno zanurzonym w teraźniejszości, wręcz w codzienności. Jego „darmaty” rozgrywają się pomiędzy bezsensownie ścinanymi na ulicach drzewami („żeby miasto miało nowoczesny wygląd”), e-mailowym spamem, tandetnymi salonami gier („nad stan” nazywanymi się „Rio” lub „Vegas”)... Znajdziemy tu wiersze o życiu w bloku mieszkalnym, o internetowej wyłudzacze danych osobowych, o naiwnym (zapełnionym starszym) panu, któremu cwaniacy wcisnęli wysoki kredyt, o sposobie na oszczędnościowe (i niekoniecznie ekologiczne) palenie w piecu, o grach komputerowych. To poezja, w której oczy chłopca są „szeroko otwarte. / Jak kredyt” („Chłopce”), „przedwyborcze mordy” w gazecie, w którą zawinięto rybę, „wyglądają na jeszcze bardziej wyszczazane” („Porządnego tuńczyka”), a wokół „słychać nieustanny szelest / przemieszczanych pieniędzy” („Piersi”). Co jednak istotniejsze, większość tych wierszy to „poezja sytuacji” z wyraźnym epickim zacięciem (pomimo ich lapidarności). Weźmy np. taki króciutki utwór, jak „Wyciszenie”: „Syl-

wetki ptaków drapieżnych / na szkle / Cygański bluzg z drugiego piętra / szuka łupu / Firma na dole proponuje rozsyłanie / naszych e-maili / po naszej śmierci". Zestawiono tutaj trzy fakty, które pozornie łączy tylko jedność miejsca i czasu. Trzeba krótkiej chwili, aby odkryć pewien ciąg skojarzeń, odnaleźć niewypowiedzianą myśl przewodnią. Szczególnie przypomina się tu wczesny Biedrzycki z jego „obrazkami” kuitowanymi paradoksalną nierzadko pointą. Tęgoż poetę, a może również Świetlickiego, przywołuje na myśl wiersz „Przed jaskinią” o nieudanej wspinaczce starszej kobiety, chcącej zwiedzić jaskinię lodową. To też obraz, ale przeplatany introspektywną liryką, z rozbudowanym, niemal homeryckim porównaniem utkany z wizyjnej metafory: „Jakbyś czegoś gorączkowo szukała we / wszystkich półkach, szafach, ołtarzach, / pomiędzy dziewczęcymi i macierzyńskimi sukienkami, / spasionymi powieściami i wychudzonymi szklankami”.

Z neolingwistami zdaje się łączyć Hruškę wyczulenie na współczesną mowę z jej niestarannością, często powodującą niezrozumiałość, czasem wręcz prowadzącą do bełkotu. „Olane darmaty” to zniekształcony krzyk zza rzeki („Chłopcze”), ale np. w kilku wierszach jak refren powtarza się fraza z używanym powszechnie, i najczęściej w dobrej wierze, kolokwializmem „wrócić z powrotem”. Tytułowa fraza rozpoczynającego tomik utworu pt. „Porządnego tuńczyka” początkowo tworzy klimat absurdu, później umieszczony w niej epitet zyskuje wciąż nowe znaczenia – wraz ze zmieniającym się kontekstem. Natomiast pointa – „żebyśmy nagle sobie przypomnieli / co wszystko tutaj do cholery / chcieliśmy” – brzmi jak wykrzykzane w złości (lub wymemlane w pijanym widzie) zdanie, które miało coś znaczyć, ale mówiący chciał w nim powiedzieć zbyt wiele naraz i w efekcie nie powiedział nic. „Powiem ci” jest być może parafrazą, a może parodią rozmowy dwóch pasjonatów gier komputerowych, którzy używają skrótów i środowiskowego żargonu. Wzajemnie rozumieją się z pewnością doskonale, jednak dla osoby postronnej mowa ich brzmi jak surrealizm, w dodatku niepoprawny gramatycznie. „Powiem więcej” i „Odpowiedz” stylizowane są natomiast na e-maile z krajów Trzeciego Świata, tłumaczone komputerowymi translatorami, w dodatku najczęściej pośrednio: najpierw na język angielski, dopiero z niego na „docelowy”. Efekty – jak to zwykle, gdy bezrozumna maszyna bierze się za ludzką mowę – są absurdalnie komiczne, szczególnie „rozpaczliwa pomoc walizce z Iraku / który znaleźliśmy” („Odpowiedz”). Język miał służyć porozumieniu, lecz rezultaty okazały się... dramatycznie daremne. Ale nie to jest jeszcze najgroźniejsze. Gorzej, gdy słowo służy celowemu wprowadzeniu kogoś w błąd. Kiedyś – w czasach, gdy debiutowali Barańczak i Lipska – narzędziem manipulacji bywał język oficjalnej propagandy; dzisiejszą kłamliwą mową jest częstokroć język reklam i ogłoszeń. Wiersz pt. „Za darmo” ma formę anonisu rzekomej cudotwórczyni, która „pomogła już setkom ludzi / teraz kolej na ciebie”. W rzeczywistości chodzi jej o polowanie na chodliwy towar: dane osobowe niczego nieswiadomych „klientów”. Toteż pointa „ogłoszenia” jest ironiczna: „weź tylko dane osobiste / jeśli jeszcze masz”. Poetyka jeśli nawet nie zapożyczona od Nowej Fali, to z nią zbieżna, demaskuje nowe fałszerstwa wciąż tą samą, starą metodą: sprowadzając je do absurdu.

Z Rózewiczem łączy Hruškę nie tylko oszczędność w słowach, ale i – może nawet przede wszystkim? – oszczędna metaforyka, wystudiowana prostota. Hruška nie „pseudonimuje” każdej myśli i każdego obrazu; używa metafory

tam, gdzie jest konieczna. Zwróćmy uwagę na krótki, trzystrofowy wiersz „Córka”. Tytułowa bohaterka krzyczy w złości do ojca, będącego podmiotem lirycznym, że chciałaby wpaść pod samochód, i wybiega z domu. Złożoną metaforyką obdarzona została jedynie druga strofa. Do powrotu dziecka: „stało we mnie życie / surowo / w stylu doryckim” – zwiernia się ojciec. Niepokój jego jest tak wielki, że nie da się go wyrazić inaczej niż metaforą. Dla rozładowania napięcia wystarczy już prosta alegoria: „będziemy długo jedli”. Co można powiedzieć wprost, lepiej powiedzieć wprost – metafora służy do spraw rozsadzających „normalną” mowę.

Dodajmy: metaforyka bywa tyleż ascetyczna, co dosadna. Weźmy taki utwór, jak „Nadmiar ojca”, dający się odczytać jako studium rodzicielskiej nadopiekuńczości. Mamy tam „nadmiernie ciężkie mięso ojca”; jego „nadmiar”, który „garnie się tutaj, / do waszego wzrastania” i jest jak „wieczna nocna warta / która właśnie weszła w światło”. Owszem, metafory to okrutnie prześmiewcze, pełne gryzącej (auto?)ironii, ale właśnie przez to „mocne”, bez ogródek punktuje to, co punktować mają – podobnie jak u autora „Niepokoju”. Strasz w świecie tej poezji „milczące mieszkania”, do których wracają dzieci, gdy „dorośli chodzą za przecenami / i egzystencją” („Kwiecień”).

Wobec tego, co powiedziane zostało dotychczas, pojawia się pytanie: czy Petr Hruška jest twórcą oryginalnym? Aby w pełni na nie odpowiedzieć, trzeba by sięgnąć do oryginałów, znając ich język – nie zapominajmy bowiem, że mamy do czynienia z przekładem, który wszystkich niuansów językowych nie odda nigdy. Trzeba również pamiętać, iż wszelka oryginalność jest w jakimś stopniu efektem łączenia antagonistycznych nieraz wpływów (czego najlepszym przykładem twórczość Andrzeja Bursy).

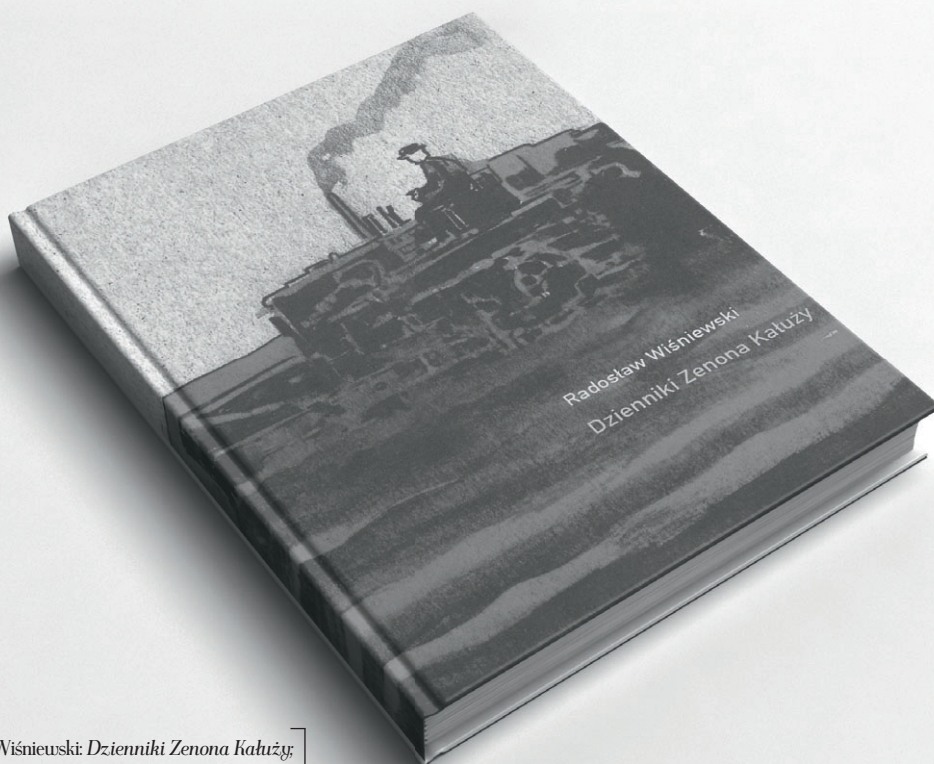
Jednak również w wariantcie zaprezentowanym polskiemu czytelnikowi, a więc w tłumaczeniu Franciszka Nastulczyka, poezja Petra Hruški – obok śladów możliwych źródeł inspiracji – ma wyraźne cechy indywidualne. Widać je przede wszystkim w tym, co u każdego poety najistotniejsze: w podejściu do języka. Znajdziemy tu sformułowania zaskakujące, które blisko graniczą ze specyficznym, czeskim wariantem surrealizmu – tym niby znanym z liryków Weinera, z prozy Oty Pavla (a niekiedy i Hrabala), a jednak w wykonaniu Hruški nieco innym. Suknia wieczorowa córki jest „łagodna jak rzeka we urzeźniu”, kij bilardowy leży „pod niesamowicie spokojnym / kątem”, pożyczone od lichwiarzy ćwierć miliona „idzie z tobą” i sprawia, że „kontur twojej postaci / jest zaraz trochę wyraźniejszy”, a w zaniedbanym baraku spotkamy „obtłuczony róg jak tędy przeprowadzał / pianino pijaństwa” (znowu iście pijacka składnia).

Wracając do pytania: Petr Hruška nie jest może aż tak oryginalny jak Kawczyńska lub Baczewski. Jest za to przystępny; może być czytelny nawet dla odbiorców niespecjalnie z poezją obytych. Jego wiersze celnie podsumowują zwykłą codzienność zwykłych ludzi. Być może historia literatury nie zaliczy go do najwybitniejszych poetów naszych czasów, niewykluczone jednak, że doceni go jako skutecznego portrecistę swego czasu i miejsca. Hruška jak mało kto (spośród poetów naszych czasów – jak prawie nikt) obnaża nasze powszednie „darmaty” – dramaty ludzkich dążeń, nazbyt często daremnych, by (że jeszcze raz go zacytuje) „to wszystko jakoś mieć, / nie być winien”. ●

Janusz Radwański > Recenzje Poetyckie

Zenon Kałuża

wyjaśnia, gdzie jest Wolny Tybet
i dlaczego nie będzie innego



[Radosław Wiśniewski: *Dzienniki Zenona Kałuży*.
Biblioteka Arterii, Łódź, 2017.]

N

ajkrótsza wersja
tej recenzji niech
brzmi tak: widzia-
łem, jak człowiek
nie czytający po-
ezji od matury,

zajmujący się na co dzień skręcaniem mebli, przeczytał *Dzienniki Zenona Kałuży* i stwierdził, że fajne. Zenon Kałuża, alter ego Radka Wiśniewskiego stylizowane na normalnego faceta próbującego palnąć sobie w łeb lutownicą (vide zdjęcie Kałuży wewnątrz książki), spełnia swoje zadanie, pozoruje wyjście z poetyckiego dyskursu na tyle skutecznie, że zeń wychodzi naprawdę.

Ale nie jest tak, że Kałuża robi swoje i Kałuża może odejść. Radek ma bowiem dla niego niełatwą robotę do wykonania. Zenon ma być podmiotem lirycznym poezji zaangażowanej.

Niby fucha to fajna, bo przecież to jest dobry czas dla zaangażowania w poezji. Po książkach Góry, Kopyta i Kiry Pietrek, po znamiennej debacie o niezaangażowaniu Świetlickiego jako opowiedzeniu się po niewłaściwej stronie wydawałoby się, że wydanie książki zaangażowanej nie jest gestem karkołomnym (a przecież było jeszcze kilkanaście lat temu). Tyle tylko, że *Dzienniki Zenona Kałuży* nie są zaangażowane w sposób, który byłby, z braku lepszego określenia powiedzmy, trendy. Nie wypływają z awangardy i futuryzmu, a z Nowej Fali (co w dobie powszechnej beki z Adama Zagajewskiego wśród młodych poetów jest ryzykowne), jest w nim więcej lęku niż buntu. A jednocześnie jest to książka pełna niezgody i angażująca się w rzeczywistość, także tę polityczną. Wszystko to sprawia, że należało wziąć postać mówiącą ją w nawias, wyprowadzić ewentualną krytykę i samemu się od tego staromodnego nieco podmiotu mówiącego zdystansować.

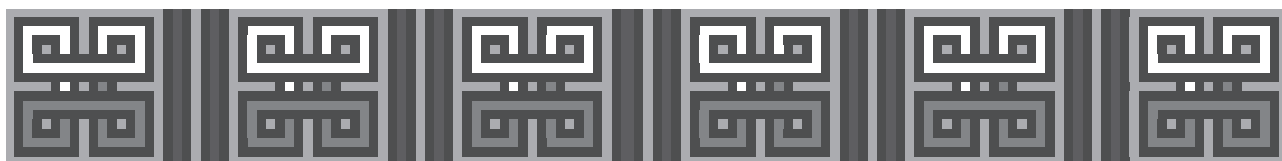
Kałuża jest katastrofistą, nad całą książką unosi się duch zbliżającej się tragedii. Już otwierający tom, bardzo mocny wiersz „Czereśnia jest bez szans, lato 1939” wprowadza czytelnika w ten klimat. *Tak to wygląda. Wybaczenie mi./Przetrwają najsilniejsi. Czereśnia i wiśnia są/bez szans. W nocy wszystkie okna otwarte./Wczoraj nad Żwirownią obłoki pyłu i kurzu/z okolicznych pól. Zapach dławionego koloidu/ w powietrzu. Czterdzieści dni bez deszczu./Jutro coś przyniesie.* Dalej są tragedie, ale raczej jednostkowe („Żeby chociaż wyskoczył z okna”, „Ile uzbierał”), coś grubszego wisi w powietrzu, ale jest jedynie sygnalizowane, to są tylko niepokojące skojarzenia czy przecucia Kałuży. Druty kolczaste przy torach, napis na niemieckiej

ciężarówce, instrukcja obsługi gry komputerowej – wszystkie te niewinne elementy rzeczywistości mają swój groźny rewers, jak cała ona. Kałuża nie wieszczy, obchodzą go detale właśnie, to, co się w tej coraz groźniejszej rzeczywistości dzieje między ludźmi. Nawet tekst, który najłatwiej byłoby wpisać w kontekst doraźnego zaangażowania („Warsztaty z patriotyzmu”), kończy się zaskakująco osobistą i na swój sposób ciepłą frazą *Jałowa/to ziemia jak wszyscy kochankowie Matki Polski,/którą opuszczam, nie trzaskając drzwiami, od której/odchodzę na palcach, cicho (cichuteńko tutaj jak w/ Stutthofie),/jeszcze ciszej, żeby tylko nie obudzić/ dziecka, które ona nosi w sobie. Którym jestem.* To jest w tej książce dobre, Kałuża jest w stosunku do czytelnika uczciwy. Nie straszy (nadmiernie) ale też i nadziei nie zostawia (zbyt wiele). „Visby, Tybet między nami” mógłby być programowym wierszem dla tego rodzaju zaangażowania, które proponuje Zenon Kałuża. *Tak trudno przyznać, że Wolny Tybet to tylko miejsce/między nami. To o jego wyzwolenie modlimy się co wieczór./I być może nawet naprawdę chodzi nam o jakieś wyzwolenie./Tym bardziej że innego Wolnego Tybetu nie będzie./ Na pewno.*

W części „Sennik Zenona Kałuży” sprawy się nieco komplikują, bo rozedrgany, autentycznie przejęty światem i żyjącymi dookoła niego ludźmi Kałuża zaczyna śnić. Styl wierszy staje się oniryczny, sporo jest efektownie zestawianych obrazów, surrealistycznych scen, tak jak w najlepszym chyba w tej części tekście „Sen 13510a albo o tych, którzy zawsze się znajdują”. Niemniej cały czas wchodzimy w sny człowieka, który czuje, że coś się zbliża („Sen 13975 albo pojednawczy strzał”, „Sen 14364 albo goin’ back home”).

O ile pierwsza i druga część książki to awers i rewers jaźni Zenona Kałuży, to część trzecia – „Inside job” jest częścią, którą można czytać z osobna, jako (chciałoby się użyć wyswiechtanej frazy *gorzki rozrachunek* i ona akurat do oldschoolowego Kałuży by pasowała) z poezją. I znów gorycz jest tutaj przełamana czymś, co sprawia, że do Kałuży czuje się szacunek, a co jest obecne w całej książce. Zenon, chociaż broni samych spraw przegranych i obserwuje świat na chwilę przed katastrofą, ma poczucie obowiązku wobec tych spraw i świata, a przede wszystkim ludzi, którzy za jednym i za drugim stoją. Nie inaczej jest z poezją, z pisaniem. Jest czymś żalonym i wzniosłym jednocześnie, ważnym, choć niezauważalnym („Miary”).

Kałuża, Kałuża. Co z tobą zrobić, po staromodnemu uczciwy i beznaście bezkompromisowy chłopiec? Współczesny obieg książkowy będzie dla ciebie bezlitosny raczej, ten rodzaj zaangażowania to nie ten rodzaj, który dobrze wygląda w esejach krytycznych i na festiwalach. Płyn po morzach i oceanach, dokąd popłynęli tamci. Do kresu, który nie jest wcale ciemny, ani jasny. Taki jakiś szaraudy, jak poranki przez większość roku w Polsce, z którą się w tej książce moczysz. ●



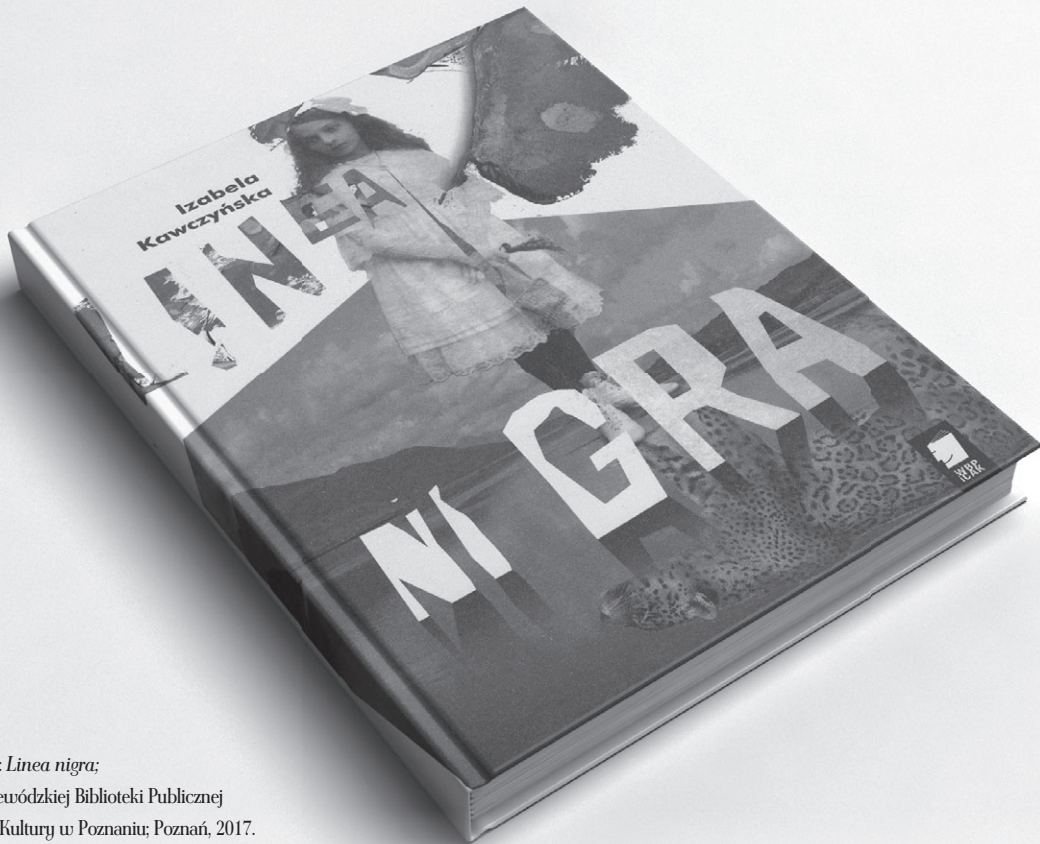
Jarosław Nowosad > Recenzje Poetyckie

Ocalić biel

Izabelę Kawczyńską zaliczyć trzeba do tych (prawdziwych!) poetek, które stworzyły własny sposób pisania.

Można jej wierszy nie rozumieć (szczególnie, że ich zrozumienie bywa dla czytelnika niejakiem wyzwaniem), być może nawet można ich z powyższego lub innego powodu nie lubić. Jednak nie sposób pomylić ich z niczymi innymi, jeśli już raz się w nie wczytało.

Dodajmy: ów indywidualny styl był już w zasadzie ukształtowany prawie dekadę temu, gdy debiutowała. Później tylko się wyostrzył.



Izabela Kawczyńska: *Linea nigra*;
Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej
i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu; Poznań, 2017.

Charakterystyczna jest choćby sama rytmika. Co prawda, jeszcze w niektórych wczesnych wierszach poetka przejawiała niejaki ciągoty do modnej podówczas, sprozaizowanej „wersyfikacji – nie wersyfikacji”, gdy w „równe strofki” układano wersy o równej długości... wizualnej. Oczywiście szybko jej się to znudziło i teraz wersyfikuje po swojemu. Ktoś powie, że rytmika intonacyjno-składniowa z „odchyłem” tonicznym jest w polskiej poezji współczesnej eksploatowana co najmniej od czasów Różewicza. Tu oczywiście będzie mieć rację, lecz Kawczyńska znalazła własny sposób na „wiersz różewiczowski”. Mianowicie podporządkowała rytmice sam tok zdań. Ów podział wypowiedzi na krótkie, równe segmenty, który tak ongiś zdenerwował niektórych recenzentów, w rzeczywistości nadaje wierszowi rytm swoistej ewokacji, być może nawet hymnu. Być może się mylę, ale – pominąwszy oczywiście pokrewierstwo z psalmem, a nawet ze starożytnymi ceremoniami – znając muzyczne preferencje poetki, podejrzewam częściowy przynajmniej wpływ owego śpiewu bliskiego melorecytacji (a czasem w nią przechodzącego), który słyszę na płytach The Doors.

Nie mniej zrytmizowane, wręcz muzyczne (nieprzypadkowo jeden ze swych wcześniejszych tomików autorka zatytułowała *Largo*), jest następstwo poetyckich obrazów, czy nawet „tok semantyczny” wiersza. W samym swym założeniu zdaje się on przypominać metodę „strumienia świadomości”, z tym, że nie jest to strumień ciągły, lecz migotliwy,

jak w kalejdoskopie lub filmie o „szybkim montażu”. Podobne „przeskoki myślowe” zdarzało mi się znajdować w utworach poetyckich Łukasza Jarosza (szczególnie z okresu *Mimikry*), u Kawczyńskiej wszakże obrazy są dużo bardziej zmetaforyzowane, właściwie wizyjne, a powiązania między nimi jeszcze mniej oczywiste.

Jej poezja jest mroczna i, jak to się mawia w świecie muzyki popularnej, „klimatyczna”. Jednak nie zgodzę się z pewnym krytykiem, który recenzując tomik pt. *Largo*, miał obawy, czy wiersze te nie powstają „jedynie dla nastroju”. Zgoda, bywają cokolwiek hermetyczne, mimo tego zawsze w nich „o coś chodzi”, jeśli nawet możemy się tego „czegoś” wyłącznie niejasno domyślać.



W najnowszym zbiorze Izabela Kawczyńska kontynuuje obrachunki ze śmiercią z poprzedniego tomu – *Chłopcy dla Hekate*. Jest w tym wszakże bardziej lapidarna, a w każdym razie bardziej konsekwentnie lapidarna (nie znajdziemy tutaj ogromnych wierszy, jakie się tam trafiały) i, mimo wszystko, trochę bardziej komunikatywna. Moja intuicja podczas recenzowania tamtego tomu nie zawiodła mnie: owe krótsze, prostsze wiersze, które znalazłem pod koniec tomu, okazały się wyznaczać drogę w przyszłość.

Ale i tematycznie, myślowo przenosimy się na inny poziom. *Chłopcy dla Hekate* – to była liryka funeralna, rodzaj współczesnych trenów o utracie bliskiej osoby i o godzeniu się z tą stratą, ale przede wszystkim o osuwaniu samej śmierci. Nowy tomik nosi tytuł *Linea nigra*. To termin ginekologiczny – nazwa jednej z oznak ciąży. Sądząc, że nowe wiersze poetki podejmą temat macierzyństwa, odgadujemy wszelako jedynie część prawdy. Ciemniejąca linia na brzuchu przyszłej matki świadczy o nowym, powstającym życiu, ale jednocześnie czerń jest w naszej kulturze kolorem żałoby. Życie w relacji do śmierci, a także stała obecność śmierci w życiu – o to tu chodzi. „Ciała / nie trzeba uczuć umierania, robiło to przedtem, robiło to / przez cały czas” – czytamy w otwierającym książkę wierszu „Seaest sea”. Początek życia jest nie tylko – jak u egzystencjalistów – wyrokiem skazującym na śmierć; oznacza też początek umierania. Nie tylko dlatego, że rozpoczyna starzenie prowadzące ku śmierci; przede wszystkim ponieważ całe życie jest ciągiem zmian, w których – stając się innymi niż jesteśmy – nieuchronnie umieramy tacy, jacy byliśmy. „To nie pragnienie życia, ale lęk przed zmianą” – czytamy w tym samym wierszu. Takim zmianom, często wyobrażanym jako powolny rozkład, poświęcona jest w tym tomie niejedna strofa – weźmy choćby obraz rozpadającego się wolno małżeństwa z utworu „Palimpsest po stracie”.

Pierwszą taką „stratą” jawią się tu zresztą już narodziny właśnie – jako odłączenie od matki („odłączeniem” w Biblii nazywana bywa śmierć), więc w pewnym sensie i pierwsza własna „śmierć”, i początek sierocstwa. W liryku „Góra Fudzi i czubek mojego małego palca w czerwieni” czytamy: „już nie jestem twoją córką, nie jesteś więcej moją matką” – a słowa te nie dotyczą jedynie narodzin, lecz również menstruacji jako zwieńczenia okresu dojrzewania, do którego droga również rozpoczęła się już przy narodzinach. I stąd być może ów pozornie makabryczny, w istocie czysto poetycki obraz: „wbijasz we mnie nóż, / jakbyś mówiła: popatrz, znajdziesz mnie w swojej krwi”.

Śmierć, a wraz z nią życie, zogromniały w tych nowych wierszach nie tylko w wymiarze czasowym, ale i przestrzennym. Józef Czechowicz pisał niegdyś, że wizja Dnia Ostatecznego może być jedynie projekcją zgonu jednostki. Izabela Kawczyńska wydaje się iść podobnym tropem. Nie tylko w takim sensie, że – we wspomnianej powyżej „Górze Fuji...” – matka jawi się oceanem (jak u Joyce’a i Lennona; notabene motyw ten powróci jeszcze w „Umarło. Czerwiec. Plaża Berck”), a jej łono, które przyszło opuścić – morską muszlą. Tego typu „osobowych ekspansji” jest więcej – podmiot liryczny utożsamia się ze światem dzikich zwierząt („Seaest Sea”), jednocy z morzem i niejako z całą naturą („Umarło. Czerwiec. Plaża Berck”), wewnątrz ciała, w którym krąży krew, porównane jest ze światem w promieniach zachodzącego słońca („Brutalitet”); dziecko – niczym Bóg – „bawi się morzem” („Palimpsest po stracie”); inne, mające przysiąc na świat, jest równocześnie trzepoczącym obok motylem („Linea nigra”). Kluczem – w duchu iście czechowiczowskim – wydaje się liryk „Wyjaśnij mi coś, słońce”. Nie tylko dlatego, że tworzy swoistą wspólnotę umierających – obraz umierającej kobiety, która „nigdy więcej nie założy butów”, niby w zwierciadle odbija się w wizji leżących „niżej, w kostnicy, dzieci o ciałach lekkich jak kolibry”. Dzięki umiejętnej grze szykiem zdania („póki nie zobaczysz // co widzi ona, czerwone słońce, gdy umiera”), nie tylko pojawia się wieloznaczność (czy umiera

słońce, czy pacjentka?); co więcej, samą konającą można zidentyfikować ze słońcem. Gdy człowiek umiera, cały zewnętrzny świat „umiera” dla niego – stąd w świecie przedstawionym tych wierszy, niby w Tetmajerowskim liryku lub w ponurym songu Type O Negative, „wszystko umiera” i wszystko naznaczone jest umieraniem. Ekspansja osoby jest ekspansją jej śmiertelności.

Jeżeli u wrażliwych i zarazem myślących dusz myśl o śmierci nieuchronnie prowadzi w końcu do pytań eschatologicznych, to wiersze Kawczyńskiej są tu „klinicznym przypadkiem”. Co rzekłszy, musimy jeszcze przez chwilę zatrzymać się przy utworze „Wyjaśnij mi coś, słońce”. Powszechność umierania zostaje skwitowana: „i jeśli w tym wszystkim nie chodzi o podróż, / chodzi o sztukę z cylindrem”. Dylemat pozostaje nierozstrzygnięty – umierająca „widzi (...) że nie pójdzie do nieba”, co może oznaczać zarówno zwątpienie w nieśmiertelność duszy, jak lęk przed potępieniem (czerwień słońca budzi skojarzenie z ogniem). Dodatkowo w pencie można domyślać się subtelnej aluzji do piosenki „White Room”, co sugerowałoby jednak podróż – ale to tylko ryzykowny domysł.

„Tak naprawdę to nie wiem, / czy wiedziałeś już przedtem, co znaczy umrzeć, / ale wyobrażam sobie, że wiedziałeś” – czytamy w utworze „Trzydziesty pierwszy film o łkaniu”. Pytanie, jak to jest umrzeć (i być umarłym), pouraca kilkakrotnie w tym tomie. „A jak już umrzesz, kogo zrobisz bogiem?” – pyta upolowaną właśnie sarnę ktoś, kto wydaje się utożsamiać siebie z całym światem materialnym. Mowa o wierszu „Jej wysokość nerwica”, którego podmiot liryczny sam siebie nie określa. Był, lub tylko chciał być kiedyś kobietą. Nieobecna matka pozostaje obecna – poprzez ciało córki („Góra Fudzi...”) lub przez pamięć („Linea nigra”). Jeszcze inaczej stawia tę kwestię liryk „Do dziecka bez świata”: mały pacjent, operowany pod narkozą, również jest w pewnym sensie oddzielony od świata. Być może czasowo, a być może już na zawsze – to nie jest przecież rozstrzygnięte, przynajmniej do końca zabiegu. W myślach zaniepokojonej matki pojawia się zarówno nie nazwana drobna blizna, której potem „nie pozna (...) nikt poza mną”, jak i „neonowe serca / sztucznych róż na cmentarzu”. Oto stan bycia na pograniczu, pomiędzy życiem a jego brakiem. Kiedy to sobie uświadomimy, większość utworów zaczyna brzmieć jak głosy z owego pogranicza (na którym – w takim czy innym sensie – przebywają wszyscy żyjący), a czasem wręcz z (różnie pojmowanego) świata umarłych.

Ciekawie ujęty jest tu również inny narzucający się temat – kwestia Boga, który jawi się w tych wierszach jako wysoce niepewny. Lecz nie tyle poddane zostaje w wątpliwość samo Jego istnienie (co w świetle dylematów eschatologicznych wydawałoby się najbardziej naturalne), ile raczej podważa się zaufanie do Niego. Podmiot liryczny wierszy „Córko Jaira, mówię ci, wstań!” i „Modlitwa do kogokolwiek dziękczynna”, uznając osobę Jezusa za realną, odznętuje się zarazem od jakiegokolwiek zbyt bliskiej z nim relacji. Skąd ten dystans? Wydają się to tłumaczyć takie wiersze, jak „Zimowy mój ogród zamarza tej zimy”, a szczególnie „Czerwony jedwab, jej powódź”, gdzie kolejny poetycki obraz krwawienia miesięcznego kończy zaskakująca apostrofa – do spersonifikowanej natury (por. „Salve Regina”)? do patronującego jej Absolutu? – „różo-dziewico, nie módl się za nami, / różo, matko wszystkich róż, nie módl

się za nami, / bo nie ma żadnej, nie ma żadnej litości". Wydaje się, że nie ateizm, czy nawet agnostycyzm (co poniekąd sugerowałby wiersz „Jak krew”) przyswiewa tej poezji, a raczej deizm. „Nie oczekuj miłości, nie miłości oczekuj, // który nie przysyłaś znaków, / a tylko te skulone, mysie płody, te truchelka” – tak kończy się osobiwa, nie tyle bluźniercza, co pełna mimowolnego żalu modlitwa „Biada, biada najwyższemu”. Bóg, który milczy nawet wtedy, kiedy właśnie jest niezwykle potrzebny (jak w „Naszemu O.”) – i trudno nawet rozstrzygać, czy jednak przemawia językiem faktów, czy tylko fakty przemawiają same (por. „Zimowy mój ogród zamarza tej zimy”, poniekąd też „Zdawało mi się, że jesteś, wczoraj”) – podmiotowi lirycznemu tych wierszy, trochę niczym Mickiewiczowskiemu Konradowi, wydaje się godzien nie zaufania, a jedynie konstatacji.

Pisząc to wszystko, stale mam wątpliwości, czy nie poczynam sobie zbyt dowolnie; czy nie dokonuję na wierszach Kawczyńskiej krwawej zbrodni nadinterpretacji. Jednego możemy być wszakże pewni: wszystko, co dzieje się w tych wierszach, jest po pierwsze i przede wszystkim kreacją literacką, a dopiero po drugie i w dalszej kolejności czymkolwiek innym. Autorka jawi się, nawet jak na poetkę, wyjątkowo zręcznym „słowiarzem” (jak zwykł mawiać o sobie mistrz Przyboś). Wiele też sytuacji w jej poezji (jeśli nie wszystkim!) najwyraźniej poczęło się ze zręcznej gry słów, z niecodziennych skojarzeń dwóch pozornie odległych obrazów lub myśli.

Weźmy tytułowy wiersz tomu. Chociaż *linea nigra* jest, jak już zauważyliśmy, przede wszystkim pojęciem medycznym, swoim brzmieniem przywołuje na myśl Niger lub Nigerię, a więc Afrykę. Tam też podmiot liryczny umiejscawia swoje narodziny, jednocześnie surrealistycznie mieszając elementy przyrody egzotycznej („motyle wielkości pięści”) i rodzimej („czerw”). Płynące stąd skojarzenie „larwa-motyl” jeszcze bardziej wzmacnia wszechobecny w tym utworze motyw narodzin jako nieodwracalnej przemiany, a przywołane w poincie Morze Martwe może stanowić aluzję do warunków panujących w łonie matki.

Podobnie mogło być z wierszem „Góra Fuji i czubek mojego małego palca w czerwieni”. Tryb życia kobiety w zaawansowanej ciąży, współbrzmiać z deklaracjami mnichów buddyjskich („Kiedy chce ci się spać, śpij, jesz, kiedy jesteś głodna”), samoczynnie „stwarza” wokół siebie Japonię. „Obecność” matki w jej córce tłumaczy się w tym kontekście dalekowschodnią wiarą w reinkarnację, tutaj przeniesioną na poziom biologiczny. Ma to wszystko konsekwencję w dwóch lub trzech dalszych utworach, otwarcie (aczkolwiek przewrotnie) nawiązujących do buddyzmu.

Nie inaczej sprawy się mają w utworze „Saturnalia”, gdzie leżące w wózku „pół-niemowlę, pół-prosię”, żywcem wzięte z „Alicji w Krainie Czarów”, rozsnuwa nieoczekiwane oniryczną atmosferę nad prowincjonalną zabawą taneczną. Ten motyw zresztą także znajduje kontynuację w (również dobrym, choć może nie różnie celnym) liryku „Alicja całuje Lewisa Carrolla”. Powyższe przykłady są jedynie trzema najwyraźniejszymi na to, o czym mowa.

W ogóle robota słowna jest, jak zwykle u Kawczyńskiej, przednia. Wystarczy prześledzić w dowolnym wierszu szereg kolejnych zdań – tyleż

podkreślający ich rytm, co stopniowo odsłaniający znaczenie. Nieraz wieloznaczność budowana jest poprzez umiejętne utracenie, jak w omówionym już „Wyjaśnij mi coś, słońce”, lub... grę zaimków: „każdego miesiąca rodzę moją córkę / i jest przy tym dużo krwi, jest przy tym dużo krwi, / i nie da się jej schować z powrotem” („Żeby w to uwierzyć”). Niebanalne użycie epitetu – np. „to było dzieciństwo, lepki czas” („Córko Jaira...”) – lub nagłe powtórzenie konstrukcji składniowej ze zmianą jednego elementu (w „Brutalitecie”, w „Modlitwie do kogokolwiek...” itp.), zręcznie przewrotna parafraza znanego cytatu (choćby: „wybaczenie im, bo nie wiedzą, co mówią” w liryku „Zimowy mój ogród...”), rzucona od niechcenia aluzja literacka lub kulturowa... Przy czym, co trzeba podkreślić, wszystko to nie służy jedynie pustemu decorum, ani popisowi umiejętności pisarskich. Nawet nie zawsze pełni funkcję służebną sensu wiersza; nieraz właśnie stanowi rdzeń tego sensu, a czasem wręcz punkt wyjścia dla całej poetyckiej wizji. Przykłady? Wystarczająco dużo podaliśmy ich wyżej. Jeśli zdarzy się w tych wierszach przymrużenie oka, to również słowne – jak ten drobny, nowofalowej proveniencji żart z „Palimpsestu po stracie”, oparty na łamiącej zdanie przerzutni: „Ta z przeciwna pociąga go i za co / lubię femme fatale?”.

Jeśli na koniec wrócę jeszcze raz do tematyki wierszy, to nie przez bałaganiarstwo. Jeden bowiem przewijający się w tej książce motyw wydaje się istotny z literackiego właśnie – czy, szerzej, artystycznego – punktu widzenia. To, co umiera (czyli, jak już było powiedziane, wszystko), zasługuje na ocalenie. Weźmy motyw bieli w utworze „Serce jako dziwna rana”. Sytuacja liryczna: dziewczynki w pierwszokomunijnych sukienkach wychodzą przed kościół, gdzie – jak można się domyślić – zostają sfotografowane. „Trzeba ocalić tę chwilę (...) ponieważ tego domaga się biel: ocalenia”, jednak chwila to wszystko, co można ocalić. Nie można sfotografować całokształtu życia, jego ciągłości (symbolizowanej przez „czerwien”); po chwili krótszej niż mgnienie oka migawka musi się zamknąć, „zanim słońce stopi filmową taśmę” (tj. kadr zostanie „spalony” nadekspozycją; biel sukienek utonie w bieli tła). Tak działa sztuka, w tym literatura: aby nie zamienić się w chaos, lecz ocalać ład, wymaga selekcji utrwalanych „chwil”. Będąc protestem przeciw śmierci, paradoksalnie domaga się zgody na umieranie (chwil nie utrwalonych). Bo – przypomnijmy idee fixe tej książki! – umieraniem jest całe życie, uszelknie życie; niezgoda na umieranie byłaby zatem wymierzona przeciwko życiu.

Myślę, że tym razem nie popełniam zbyt jaskrawej nadinterpretacji. Ostatni wiersz w tomie, „Pęknięty ul niesiesz w sobie, dziecko”, wydaje się właśnie ostateczną zgodą na życie. Kończy go bowiem (co istotne, zanegowany wcześniej w rozpoczynającym tomik utworze „Seast sea”) obraz poczęcia dziecka, w dodatku raz jeszcze odwołujący się do motywu ocalenia: „Dzieci wstępują w matki, by w nich przetrwać, / przespać czas zamieci i szkła”. To jak gdyby „Tren XIX” napisany uspak – akceptacja nie końca życia, a jego początku, nawet jeśli kres ten zwiastującego. Spokojne pogodzenie się z kolejną rzeczą.

Wobec powyższego tom jest tak doskonale zamknięty, że nie podejmę się nawet stawiać pytania, jaką drogą dalej podąży poezja Izabeli Kawczyńskiej. Ufam w każdym razie, że Autorka podąży dalej. Czymkolwiek bowiem nie byłby jej najnowszy tomik, z całą pewnością jest on aktem wiary w literaturę. Pozostaje więc czekać. ●

Piotr Gajda > Recenzje Poetyckie

Nieuniknione objawy wtórne

BOGDAN
PREJS

Bogdan Prejs: *objawy pierwotne*;
Instytut Mikołowski, 2017.

Nie mam żadnego powodu, żeby niniejszą recenzję tomu wierszy zatytułowanego *objawy pierwotne* nie rozpocząć od kryptocytatu z notatników służbowych strażników miejskich: „Mężczyzna, lat około pięćdziesięciu, znany mi z imienia Bogdan”. Dobrze będzie się to wpisywało w tak zwaną „lokalność”, ponieważ niniejsza dysertacja krytyczna odnosi się akurat do najnowszej książki Bogdana Prejsa wydanej w Instytucie Mikołowskim. Szczęśliwy ten poeta, który w swoim mieście posiada takową instytucję, co wydaje wiersze, robi ich autorom spotkania, zaprasza innych poetów na spotkania, na które przychodzą pozostali poeci z całej okolicy. Tym bardziej, że ów lokalny mit wspierany jest nie tylko przez Naczelnego Patrona Mikołowa – nie, nie burmistrza, posła/posłankę z regionu czy też przewodniczącego/przewodnicząca lokalnych struktur partyjnych – poetę przeklętego Rafała Wojaczka, jak również przez fakt, że poeta Bogdan Prejs skończył (się?) ostatecznie jako dziennikarz (Boguś, mogło być gorzej, mógłbyś zostać na przykład urzędnikiem).

No dobrze, koniec żartów, przejdźmy natychmiast od ironii do *résumé*. Podeprzyjmy się słowami Joanny Oparek i Antoniego Pawłaka wydrukowanymi na okładce *objawów pierwotnych*. To, co jest dla tej recenzji istotne, w wykonaniu Oparek brzmi następująco: „Wiersze Bogdana Prejsa (...) są trochę jak ten facet/kobieta przy barze, niby na dystans, ale z pewną skłonnością do podjęcia rozmowy, która okazuje się głęboka i dowcipna, a dowcip ten jest gorzki lub po prostu wytraunny”. A teraz Pawlak: „Wiersze Bogdana Prejsa (...) to niby realistyczny portret rzeczywistości, ale ma w sobie coś z wielkiej tajemnicy obrazów Edwarda Hoppera”. To są cenne uwagi, zwłaszcza w wymiarze estetycznym, jeżeli tylko, drogi czytelniku, uwierzysz z kolei moim słowom, że Bogdan Prejs siedzący przy barze naprawdę wygląda jak mężczyzna z obrazu Hoppera *Nighthawks* (nawet mimo tego, że nie nosi kapelusza). Wiem, bo widziałem.

Merytorycznie obie notki wskazują na coś o wiele istotniejszego, a mianowicie na to, że autor obraca się ze swoimi wierszami w konkretnej przestrzeni, którą można oznaczyć sygnaturami „tu i teraz” (pisanymi

dowolnie, łącznie bądź rozłącznie: „tu” i „teraz”). Na tym właśnie polu toczy się jego dialog z czytelnikiem, „teraz”, *kiedy pijemy w sterowni szóstego harnasia, kiedy przysiadła się do stolika, nieopatrznie wzięła do ręki tomik z wierszami wybitnego poety jeszcze młodego pokolenia, gdy wciąż dramatyzuje się swój koszmar, gdy zgadza się, tak: znam Basię Klichę, gdy zawsze się dzieje, choćby to był tylko trywialny dworzec w Legnicy, na którym nie raczyła spłynąć na nas magia olśnienia, i „tu”, w którym każde łóżko pełne kobiety jest dobrym łóżkiem, które jest porą dnia, kiedy wypadałoby zacząć wreszcie funkcjonować, lecz mechanizmy konsekwentnie zawodzą i jedynie instynkt pociąga za sznurki, kiedy mając do dyspozycji widok za oknem oraz judasza w drzwiach, wybiera się łóżko, nawet puste.*

Z powyższych fraz wyjętych z poszczególnych wierszy wyłania się poetycki świat Prejsa, rzadko przekraczający nie tyle kwadrat mikołowskiego rynku, co złożoną, na wskroś indywidualną prywatność. Prywatność charakteryzującą się objawami pierwotnymi, jakie z medycznego punktu widzenia są objawami wynikającymi z procesów patologicznych toczących się jedynie w obrębie centralnego układu nerwowego i nie wynikają z innych schorzeń wpływających na rozmaite powikłania. U mikołowskiego poety do „pierwotnych objawów” zaliczyć można szczególny rodzaj melancholii, jaka w skrajnym natężeniu przyjmuje gorzką postać rezygnacji, którą należy przełknąć i się skrzywić (najlepiej przywdziewając przy tym ironiczny uśmiech). Nie znaczy to wcale, że autor *biernika* do tego stopnia jest egocentryczny, że aż egoistyczny. W wierszu tytułowym tomu z łatwością obok gier językowych odnajdziemy spojrzenie bardziej uniwersalne, choć skażone pewnego rodzaju życiowym defetyzmem (jakże niekiedy pożądanym w dzisiejszych rozrywkowych czasach):

(...) nadchodzącej wiośnie kurczy się pole do popisu, a kobiety jehowij z uśmiechem z uśmiechem informują świat o kolejnym odejściu pana. tuli pana, szam pana, marce pana, panaceum. trzeba się nauczyć nad tym pracować, nie pozwolić zawirować. permanentna ewolucja, totalna rewolucja, czasem wojna. później będzie już prościej, gdyż wyginą silne gatunki i przetrwają wyłącznie ułomni (...).

„Korzeni” tej poezji należałoby poszukać nie w ideach lingwistycznych czy konstruktywistycznych, ale w koncepcyjnym zwrocie z lat 80. XX wieku ku poezji przylegającej do mowy prywatnej, spisanej potocznym językiem jako rodzaj wypowiedzi *stricte* indywidualnej czy prywatnej. Ważnym aspektem tego sposobu poetyckiego wyrazu jest kwestionowanie roli poety jako autorytetu moralnego lub intelektualnego. Bo też dla kogo takim może być pełen wątpliwości poeta (w końcu to zwykły rozmówca), który nie dowierzając swojej lirycznej mocy, napisał:

(...) mam dla siebie całą noc. w tych wierszach nie potrafię znaleźć tego, czego szukałbym, gdybym umiał odnajdywać tropy, podteksty, podwójne znaczenia. poduszka obok ułożyła się już na znak.

(„kolejny wiersz bez miłości”)

Podobnie u Prejsa bywa z moralnością, która każdemu mocno stąpającemu po ziemi (tej Ziemi) prędzej czy później (to kwestia dojrzałości) przeistacza się w znośny (albo zupełnie już nie do zaakceptowania) koniunkturalizm, objawiający się najczęściej codziennym życiowym oportunizmem (żyjemy wszak obok innych drapieżników):

(...) ten znajomy stan, gdy jedno myślisz,
drugie uważasz, mówisz trzecie, czwarte robisz,
by w końcu sam siebie zaskoczyć (...)

(„dziś marionetki mają bal”)

Po uważnej lekturze tych trzydziestu paru kartek zadrukowanych wierszami mamy więc niby podany jak na tacy komplementarny podmiot liryczny, nieco zgorzkniały (jak w wierszu *okrucy*), lekko przegrany (*magia miejsca, codzienność odwrotu*), w miłości niespełniony (*real z gwiazdą portalu erotycznego*), zawodowo wypalony (*zagłuszające*). Partykuła i przysłówki „niby” są tutaj chyba najważniejsze, ponieważ raz jeszcze poddają pożądaną weryfikacji całościową złożoność komunikatu. Wszak *objawy pierwotne* nie traktują tylko o tym, wykraczając tematycznie daleko poza wysublimowany niedosyt osobistej homeostazy. Ten tom to również zapis złożonej i wyrazistej koezystencji z określonym miejscem (środowiskiem literackim) oraz współuczestnictwem (trwaniem) w nim na codzienną śmierć i życie. Właśnie z tego wynika niekwestionowana prawdziwość wierszy Prejsa, wspartych „dziennikarskim okiem” doposażonym w „optyczny celownik” liryka „z krwi i kości”. Dla kogoś takiego jak ja, poety „stamtąd”, dla mieszkańca Mikołowa – wieszca „stąd”. Ci, którzy dotrą do jego najnowsze go tomiku, oczywisty dowód na ten punkt widzenia odnajdą w wierszu kokon (*myją korytarz pastują podłogi*):

(...) kilka nieprzemyślanych komentarzy na fb oraz trzy kompletnie

zbędne światu wyjścia z domu, za to korytarza, chociaż wczoraj przypadała twoja kolej, nie chciało ci się umyć. w tym czasie

maciek i konrad wygrzebiali we wrocławskim archiwum ponad pięćdziesiąt nieznanych dotychczas wierszy rafała. do tego parę opowiadań. czyli to nie był jednak tak do końca martwy sezon.

No i co? Wszystko albo nic. Jak mówi poeta: *w pewnym wieku/ można już wszystko. dokładnie wszystko. nie ma winy, niczego/ nie ma. it's a heartache. pół nocy słuchałem diamonds and rust./ położyłem się, wciąż czekam na świt. pewnie znowu się obudzę.* Chyba nie pozostaje mu nic innego, jak spokojnie zaczekać na nieuniknione objawy wtórne. Ponadto rozpisywać to czekanie na podobnie porównujące wiersze w rodzaju *z osiemnastego na następny*. Bo o *zmiierzchu* (tu należy wpisać według uznania: życia, miłości, kariery czy natchnienia) *życie przestaje być prawdziwe*. W końcu wcale to od nas nie zależy, czy przeminie nam ono w rytm pierwotnego wykonania *Diamonds and Rust* przez Joan Baez, czy może raczej jak wtórny (ze względu na formułę) cover heavy metalowego Judas Priest. ●

Michał Domagalski > Recenzje Poetyckie

List (nie)otwarty do Marcina Orlińskiego w sprawie zażywania *Środków doraźnych*

Depresja to temat niewygodny. Szczególnie kiedy dotyczy nas. Pozwólmy sobie na jeszcze **mocniejsze zawężenie**: kiedy dotyczy *mnie*. Pisanie o pewnych zjawiskach ogólnie pozwala na **swobodę**. Dystansujemy się wobec **problemu**. Kiedy depresja dopada jakichś tam ludzi, jest **daną statystyczną** w tabeli, punktem na wykresie, nasza wypowiedź pozwala nam **trzymać się z boku**. To my, obserwatorzy.



Marcin Orlński: *Środki doraźne*,
Poznań, 2017.

G orzej, jeśli zabiera nas się z ławej, zakłada strój i każe grać. Kto nas zabiera z ławki? Depresja sama w sobie. Skąd się wzięła? Jak niepostrzeżenie przerodziła się ze zmartwień w niemożliwy do opanowania stan? Czy mamy jakiegolwiek środek zapobiegawczy? I dlaczego tak bardzo nie chcemy się przyznać, że oto *ja* stanowi część liczby znajdujących się w tabeli w miejscu wyznaczającym ilość ludzi z depresją?

Nie chcemy się do tego przyznać, bo przecież świat nie akceptuje choroby. Chorzy cały czas stanowią tych gorszych, zjawiskowych. Nie mogą uczestniczyć we wszystkich wydarzeniach. Nawet jeśli ich się zaprasza, to nie na zwyczajowych zasadach, ale dostosowując podjazd lub siedzenia w tramwajach, malując miejsca parkingowe na niebiesko, do nazw wydarzeń sportowych dorzucając przedrostek para-, okazuje się im pomoc z ledwo dostrzegalnym zapotrzebowaniem na wdzięczność.

I o ile choroby dotyczące ciała lub związana z nim niepełnosprawność przez wielu zostały już lepiej bądź gorzej oswojone, o tyle te, które dopadają psychikę, ciągle jeszcze budzą uśmiechy niedowierzania

(*Depresja?*), które szybko przeradzają się w poszukiwanie przyczyn (*Skąd u ciebie depresja?*).¹

Próba odkrycia źródła depresji dopada także tego, który jej uległ. Może to być śmierć bliskiej osoby lub przypadkowego zwierzęcia.² Bądź oba wydarzenia jednocześnie, jako przytłaczający zbieg okoliczności. Powiedzmy, że w dniu śmierci babci przejeżdżasz zającą. Że z biednym, niepotrafiącym w wyniku wypadku kicać, zwierzęciem jedziesz do weterynarza, który go nie uratuje, a tylko skróci jego mękę. To prawdopodobnie nie jest źródło depresji, ale całkiem dobry powód, żeby z nią zacząć walczyć. To także ten moment, w którym antydepresanty wydają się jeszcze dobrym środkiem do zwalczania depresji.

Dopiero później zrozumiesz, że to *środki doraźne*. Doraźne niczym ubieranie traumy w rymowany czternastozgłoskowiec. Nawet średniówka po siódmej sylabie nie pomoże na długo. Złudą wydaje się

¹ Oba nawiasy za: Marcin Orlński, *Poranek* z tomu *Środki doraźne*. Cytaty oraz parafrazy z wierszy (jeśli nie podano inaczej) za Marcin Orlński, *Środki doraźne*, Poznań 2017.

² Por. *Grzebień*.

także przerabianie tego w bajkę o życiu wiecznym. Skuteczne, ale chwilowe. Od teraz potrzeba sięgnięcia po środki doraźne stanie się paradoksalnie silniejsza niż one same. Bez nich *Ciemno, a jakby jasno./ Późno, a jakby wcześniej./ Leżę, a jakby stoję./ Na jawie, a jakby we śnie.*³

Nic nie jest tak permanentnie potrzebne jak doraźne rozwiązania.

I to chyba dobry moment, żeby uświadomić sobie, że depresja nie ma przyczyny. Przynajmniej takiej, o której mógłbyś (umiałbyś?) mówić. Ostatnio utożsamiasz się już nawet z bakteriami, które występują w reklamach detergentów.⁴ Jak o tym opowiedzieć?

Może pozwolić mówić głosowi z zewnątrz? Niech ten, który dotychczas miał pełnić rolę odbiorcy, cierpliwej białej kartki, stanie się narratorem – uraczy cię opowieścią o cudzych nieszczęściach; lub (może nawet lepiej) podmiotem lirycznym – chaos myśli i uczuć zamknie w dwunastozgłoskowiec, jakby tworzył zakłęcie. Tylko że to zakłęcie nie działa poza wierszem. A i na jego przestrzeni jest tylko życzeniem skierowanym do *Pamiętniczka*.⁵ Uda się na jego stronach odnaleźć cokolwiek, co zrobi porządek w głowie?

Wyrzucenie wszystkiego z siebie ma ponoć działanie terapeutyczne. Może właśnie dlatego, że wypowiedziane, a jeszcze bardziej spisane, staje się o wiele bardziej poukładane. Paradoksalnie, gdy zaczerniamy papier, trochę nam się rozjaśnia.⁶ Lub robi to przynajmniej takie wrażenie. Lecz ten kosmos zamiast uspokajać – przeraża. Z jednej strony tworzenie *Listy błędów*⁷ pomaga w przepracowaniu ich, z drugiej – taki spis uświadamia ilość zaniedbań, zaniechań oraz całej reszty braków i defektów.

Poza tym trzeba mieć na uwadze, że ten kosmos to już nie tylko porządkowanie chaosu. Nadmiar przytłacza. Bo w tym kosmosie i bakterie z reklam, które zostały pozbawione sprzymierzeńców, i Marsjanie, nad chrzczeniem których zastanawia się papież Franciszek. Z losem tych pierwszych się utożsamiasz, co do drugich, obawiasz się, że to oni mogą chcieć chrząć nas. *I zrobią to w taki sposób, /w jaki zwykle robi się/ takie rzeczy.*⁸ I jeżeli to jeszcze śmiesz, to tylko z przyzwyczajenia. To wszystko kwestia perspektywy. Kapłani nie wyobrażają sobie, żeby religia innych mogła być prawdziwą wersją. Nie wyobrażają sobie, żeby to nie oni dokonywali na innych rytuału inicjacyjnego.

To wszystko kwestia *Perspektywy*.⁹

Człowiek na inne istoty nauczony jest patrzeć przez własne – ludzkie, co wcale nie musi brzmieć dumnie – doświadczenie. Czy to na Marsjan, czy na bakterie z reklamy środków czyszczących. Nawet

o tym, czym stanie się człowiek po śmierci – patrzymy po ludzku. Nawet jeśli jesteś niewierzący, nawet jeśli zostaną po tobie wyłącznie atomy, z których składa się twoje ciało, to nadal patrzysz na to poprzez obraz. Patrzysz na to bardzo po ludzku.

I ta perspektywa wcale nie pozwala uwolnić się od depresji.

Pogłębia ją brak odpowiedzi. *Choćby głupiego „Dziękujemy za list, ale nie jesteśmy zainteresowani współpracą”.* A przecież ludzkość śle ciągle najróżniejsze wiadomości i sygnały w przestrzeni. Jesteśmy sami? Czy – bardziej romantycznie – samotni? Powinniśmy się czuć niczym podmioty liryczne z wierszy Stanisławów („Próżni” Koraba-Brzozowskiego oraz „Widokówki z tego świata” Barańczaka)? *Mroźna próżnia milczy swą nałogową odpowiedź?*¹⁰ Nie chce się odzywać, czy po prostu jej nie ma? To pytania raczej nie prowadzące do rozwiązania problemu depresji. Za to skutecznie mogą stać się dla niej pokarmem. Jeśli istnieją obce cywilizacje, co robią, gdy nas spotkają? *Przywitają? Zniszczą? A może pochylić się z litością nad naszymi nudnymi teoriami, nad nutami prymitywnych symfonii i oper?*¹¹

Nie uratuje nas to gdybanie. Ale gdybamy. Nie doprowadza nigdzie. Ale gdybamy uparcie. Bo to ostatecznie temat, który interesuje nas od prologu do *Epilogu*: życie.

Może lepiej byłoby nie patrzeć tak kosmicznie; nie próbować myśleć o całej pozaziemskiej przestrzeni, nie szukać w świecie uporządkowanej, harmonijnej całości? Może skupić się na tym, co bliższe? Dołączyć do kolektywu korporacji?

W korporacji znajdziemy ludzi o podobnym guście. To co, że dotyczy on tylko odświezacza do kibla lub innej trywialnej sprawy?¹² Wspólnotowa radość nie trwa jednak długo. Po prostu nie potrafimy się odnaleźć w tych wszystkich korporacjach, korposprawach, korporacjach... To rozwiązanie równie doraźne niczym próba określenia siebie poprzez funkcje, które zdarza nam się pełnić. Mężczyzna? Poeta? Pacjent?¹³

Zostaje nam wracanie uparcie do tych samych tematów. Mniej lub bardziej kosmicznych form życia. To prawda, że mamy już ponad trzydzieści lat i ani się obejrzymy, a nie będziemy się mieli za czym oglądać. Możemy jeszcze napawać się kolorami plastiku oraz benzyny, a na koniec rzucić zapalniczkę.¹⁴

Wiesz, Marcinie, że nasze zapalniczki, docierając do celu, prawdopodobnie zgasną z mało efektownym sykem? Bez Wielkiego Wybuchu.

To też dobra karma dla depresji. ●

3 Typowa noc bez antydepresantów.

4 Por. *Poranek*.

5 Por. utwór pod takim tytułem.

6 Por. *Paradoxs*.

7 Por. utwór pod takim tytułem.

8 Por. *Franciszek i Marsjanie*.

9 Por. wiersz o tym tytule.

10 Por. Stanisław Barańczak, *Widokówka z tego świata*, w: tegoż: *Wiersze zebrane*, Kraków 2014.

11 Por. *Obce cywilizacje*.

12 Por. *Kolejny dzień w korporacji*.

13 Por. *Środki doraźne* (wiersz).

14 Por. *Zapalniczka*.

Recenzje graniczne

R

utyna powoli niszczy wielu uznanych autorów, zarówno wierszy, jak i recenzji. I tyle wystarczy, by zwrócić waszą uwagę. Przykłady, jeśli w ogóle padną, to gdzie indziej. Czytajcie ze zrozumieniem zwłaszcza recenzje, a już w szczególności te pozytywne. Tutaj jest miejsce na zdecydowanie inny konflikt, zdecydowanie innej jakości. Ale żeby uprzedzić fakty, zanim minę się z renomą tudzież innym powołaniem, od tego odcinka wprowadzam kategoryzację. Ten odcinek naszej wspólnej pracy sponsoruje granica, czego proszę nie mylić z jeszcze bardzo śladowo obecnym w polskiej poezji problemem uchodźców.

J eżeli już, w grę wchodzi migracje jako takie. Konteksty polityczne mogą was zbyt szybko zgubić, zanim tak naprawdę uczycie się w wiersz, dacie mu szansę zadziałania tam, gdzie to najlepiej potrafi – w umyśle i wyobraźni. Zanim je rozszerzy lub spowoduje w nich mniejsze bądź większe zamieszanie. Tym razem więc interesuje mnie pojęcie punktu odniesienia tudzież prostej, krzywej czy wręcz okręgu lub elipsy, które mogą w kontekście danej poetyki wskazywać jakieś możliwości bądź ograniczenia. Wiersza, ale i całego projektu poetyckiego, poetyki lub stosowanych w ramach niej środków wolnego albo szybkiego rażenia. Celowo nie naprowadzam precyzyjnie – niech przemówią lub przemilczą recenzje.

• **Marcin Orlński,**
Środki doraźne (WBPIKAK)

Po książce dla hipsterskich biegaczy Orlński zafundował czytelnikom książkę o hipsterskiej depresji, nie przez przypadek z biegami w tytule. I jest w tych wierszach – można już śmiało zaryzykować, że charakterystyczny dla autora z Saskiej Kępy – spokój i dystans, nie tylko do pokonania. Brakuje mięsa, to istotne. Ale pojawiają się równie soczyste kawałki warzyw i owoców. Świeżych. Zbyt nie zmetaforyzowanie języka jednak nie służyłoby tym wierszom, jak wątpliwie służy opowiadaniu o nim. Bo to jest format reality typu *Ukryta prawda*, tyle że zmontowany na najwyższym poziomie, skrojony pod bogatszego zjadacza chleba, ciecierzycy, soi i marchewki. I jak rzadko – deklaratywność i dosłowność jest w tych wierszach wręcz wskazana. Tak silnie działa tutaj artykulacja i obsesyjne przypomnianie tematu książki. Ile lektur jest więc możliwych? Tyle, ile pomaga, choć wskazana jest jedna, ale dobra. Tak skonstruowane teksty nie potrzebują reklamy, one po prostu są jej przekonywującym nośnikiem.

• **Janusz Radwański,**
Kalenberek (FDF)

Z Radwańskim mam od niepamiętnych czasów problem: działa, otwiera mi się, interpretuje, współgra i zaskakuje na przestrzeni zestawu wierszy – trzech, czterech, może pięciu. Gdy mam do czynienia z pełną książką – z jakichś tajemniczych powodów poszczególne utwory znikają mi w tłumie. Tak jest również i tym razem. Otwieracz zapowiada zbiór co najmniej przyzwoity, okraszony anegdotami, nie tylko poetyckimi, i sporą dawką humoru. To jednak, niestety, tylko dobry zabieg marketingowy – w dalszej części tomu wiersze rzadko przystają do takiej charakterystyki, raczej wzajemnie się zagłuszając i rozmywając. Niejako biorą na warsztat potencjalnie dowcipny i ironiczny temat, by go porzucić, nie realizując. Taka dekonstrukcja w procesie, ale jakby to był nie do końca kontrolowany bałagan, również jeśli chodzi o ułożenie wierszy w tomie. Wielka szkoda przy takim potencjale autora, wciąż niewykorzystywanym – poza przedbiegami i mało stromymi podejściami konkursowymi – talentem. Pytanie tylko, czy to kwestia samego materiału w ogóle, takiego jego wątpliwego uroku i zwodniczej jakości, czy jedynie elementów wykończeniowych, zbyt pobłażliwych redaktorów, nieprzyzwyczajonych do grubszych cięć i śmielszych przetasowań, także wewnątrz danych tekstów. Życzę autorowi, by zaczął trafiać, w wielu znaczeniach.

• **Natalia Malek,**
Kord (WBPIKAK / SDK)

Nie muszę wiedzieć, o co chodzi, by docenić kunszt tych wierszy, a jednocześnie ich bezpretensjonalną daremność. Czy to gender, czy feminizm, czy inne idee obecne we Wspólnym Pokoju, bo w końcu z tej inicjatywy poniekąd zrodził się ten zbiór. Czy nawet niewinna igraszka z literaturą amerykańską, w Polsce wciąż nieznaną w ojczystym języku. Książka ma swoją dynamikę, pazur tudzież obcas. I proszę tych kilku impresji nie traktować jako protekcyjne biadolenie samca. To raczej próba znalezienia sobie miejsca w tych niewygodnych wierszach. Pozornie tylko dających się opowiedzieć i przepowiedzieć. Pozornie tylko zdradzających nabytą gościnność, a tak z ręką na rozumie (bo przecież nie sercu) wymagających samotności długodystansowca.

• **Izabela Kawczyńska,**
Linea nigra (WBPIKAK)

Na niejednych łamach upominałem się o należne tej poetce miejsce. Najnowszy zbiór tylko potwierdza moje nieśmiałe w przypadku tej poetyki przypuszczenia: wszechogarniający niepokój; obsesyjność mówienia, która zastąpiła pierwotną w tym projekcie obsesyjność obrazowania, zacerpniętą z powoli odchodzącego do historii nurtu ośmielonej wyobraźni; usilne poszukiwanie adresata, którego tak naprawdę mogłoby nie być, a i tak by się mówiło; wszechwładna symbolika, nie tylko związana z pogłębianą psychologią opisywanych stanów i zjawisk; wreszcie jakiś rodzaj drżenia – na poziomie samego języka wiersza, ale i jego struktury, mieniących się i niechających tak łatwo zaklasyfikować znaczeń. Jakby Kawczyńska, za pośrednictwem swoich podmiotek, wołała przypominać jak natrętne echo: Poezja jest czymś, co nieustannie się wymyka, umyka, robi uniki, by jeszcze bardziej boleć, fantomowo. Dlatego nie próbuj jej wikłać w jednoznaczne i konkretnie ustanawiane powinności, daj jej wolność od świata, który można ot tak opisać bądź na który można skutecznie oddziaływać. Czy tę książkę da się czytać jako formę sprzeciwu wobec ostatnio coraz częściej lansowanego modelu poezji zaangażowanej jako dojrzałej i jedynej pełnoprawnej, bo rozumiejącej i akceptującej swoje powinności? Poezja niczego nie musi, choć sama konieczność pisania i zapisywania jest niezależna od tak ustawionego imperatywu pozamoralnego i pozaetycznego. I to jedyna konieczność, jaka może być wpisana w ideę wiersza: istnienie, ale nie w celu dawania jakiegos świadectwa.

• **Grzegorz Olszański,**
Biały album (WBPIKAK)

Stara szkoła poezji śląskiej powraca ze zdwojoną siłą! Podczas gdy jej najsławniejsi adepci komercjalizują prozę albo ćwiczą wytrzymałość śladowego czytelnika na coraz dłuższe zdania i wersy tudzież z lepszym skutkiem rymują – Olszański bezpretensjonalnie i niemodnie robi swoje. Nie stroni od jednocześnie ironicznych i czułych tawestacji (Zadura!), nie boi się metafor dopełniaczowych na miarę Jacka Podsiadły, choć w przeciwieństwie do mistrza tego gatunku grozy poświęca im powagę i uzupełnia je o podteksty. Książka, jak na album przystało, a raczej kasety, podzielona jest na dwie strony, z czego A składa się z dwóch cykli wierszy: konfesyjnych „Lamentacji” i polityczno-środowiskowych

„Polonezów”. Pierwszej patronuje śmierć, drugiej ironia, choć przenikanie się tych dwóch kategorii na przestrzeni całego tomu niezbitnie udowadnia, że to jedno i to samo doświadczenie z pogranicza światów. Strona B natomiast to turniej jednego wiersza w teatrze cieni.

Nie dajcie się tutaj zmylić bitelsowskim tropom, choć jak w przypadku wcześniejszych wierszy Olszańskiego – motyw muzyczne muszą się pojawiać, punkty zapalne jak w przypadku kultowych już butelek z benzyną z przeboju Cool Kids Of Death. Nie zapominajmy również o wątkach filmowych, choć do samych ujęć wystarczy co najwyżej jedna kamera, żeby nie powiedzieć – przeciętny aparat fotograficzny. Nie potrzeba specjalnych narzędzi: Olszański serwuje gotowe kadry na poziomie obrazu i gier językowych, równie plastycznych i sugestywnych. Wiersze z *Białego albumu* wyświetlają się same, jak najbardziej efektowne akcje w programie podsumowującym kolejną jakąś silną ligę piłkarską. Na przykład niemieckiej, z niewielką pomocą przyjaciół z Ameryki Południowej.

• **Agnieszka Wolny-Hamkało,**
Panama smile (WBPICAK)

Mówiąc brutalnie: nic z tego nie pamiętam, choć sama lektura przebiegała w sielankowej atmosferze. Czytam więc jeszcze raz, dochodzę do spisu treści i... mogę powtórzyć pierwsze zdanie. Puste przebiegi – tak, tylko moje czy autorki?

Sprawność warsztatowa to zwykle błogosławieństwo i przekleństwo zarazem. Łatwość budowania zgrabnych i okrągłych fraz, zwłaszcza skrojonych na miarę typowego dla polskiej poezji post-amerykańskiej hermetyzmu, dość szybko i bezboleśnie może doprowadzić do utraty jakiegokolwiek istotności pisania. Tymczasem wiersz jako ćwiczenie stylistyczne, choćby nad wyraz kunsztowny, wyczerpuje się po kilku udanych próbkach. Budowa całej książki poetyckiej w oparciu o podobne zabiegi to raczej nieudany eksperyment – to tak, jakbyśmy mieli korzystać z podręcznika *creative writing*, przedstawiającego do znudzenia (eufemistycznie rzecz ujmując) jeden wzór na wiersz, jeden na jego język. W każdym razie musimy uczciwie przyznać, że Wolny-Hamkało z niejednego poetyckiego pieca chleb jadła, więc takich rzeczy nie robi ostentacyjnie, szwy są widoczne dla bardziej zaprawionych w bojach czytelników wątpliwych. Niemniej wydmuszki mają to do siebie, że dość szybko pękają.

Najbardziej zwracają na siebie uwagę nieco kiczowate ilustracje retro. To tak na marginesie, choć zajmują całe strony.

• **Katarzyna Zwolska-Plusa,**
Cud i Anomalia (SŻP)

Wielki brak patronuje tej książce. I o ile w samych wierszach potrafi być przesywająco dojmujący, o tyle ten dotyczący warstwy redakcyjnej tomu (przegadania, słabsze fragmenty) drażni tym bardziej. Wielki nadmiar patronuje tej książce. I o ile w samych wierszach potrafi być obficie zajmujący, o tyle ten dotyczący warstwy redakcyjnej tomu (rozmycia, słabsze fragmenty) drażni tym bardziej.

Oczywiście – debiut rządzi się swoimi prawami, może zawierać teksty z jakiegoś powodu ważne na poziomie istotności abstrakcyjnym dla wrażliwego na nudę i niedociągnięcia czytelnika. Ale nieproporcjonalności całości nie da się usprawiedliwić li tylko tytułem, skądinąd trafnym i uru-

chamiającym kilka wciągających ścieżek interpretacji. Tutaj przydałyby się radykalne decyzje odgórne, porządkujące skuteczniej ten emocjonalno-metafizyczny niepokój, skądinąd na tyle interesujący, że zasługujący na pełną książkę z wierszami z prawdziwego zdarzenia.

• **Darek Foks,**
Kronstadt (WBPICAK)

Czy to jest hołd wciąż niedosłego scenarzysty dla wielkości kina radzieckiego? Jest. Czy to jest kolejny projekt łączący w sobie post-pamięć z Wittgensteinowską zasadą większej istotności tego, co poza tekstem? Jest. Czy autor robi sobie jaja z krytyka/krytyczki? Zależy którego/której. Czy autor robi sobie jaja z czytelnika? Jak wyżej, choć w tych kawałkach nie przesądzałbym braku powagi, ba, istnienia jakiegoś postneoklasycystycznej prawdy, choćby na poziomie samego zdania, bezpretensjonalnego w swoim obiektywizmie i (pozornej) nudzie.

Mamy więc taniec uników na polu minowym. Mamy (nie)bezpieczny port. Wojnę autora z podmiotem, z której obronną ręką wychodzi tylko ten czytelnik, który nie zatrzyma się na etapie pierwszych dociekań, nie powie „sprawdzam” i zamiast jokera rzuci na stół pustą kartę. Powtórzmy, głośniej, niech niesie nas echo: to, co się nie wydarzyło, istnieje bardziej. Tylko co do tego ma nowy zbiór (wybór?) kawałków Foksa, niewydarzony, niesfilmowany, a chyba nawet (tak naprawdę) nienapisany?

Okladka została zaprojektowana analogicznie do okładki Wołynia Bourne’a. Przypadek? Sądzę.

• **Jerzy Kronhold,**
Stance (Convivo)

Kiedyś niedoceniany, a teraz nominowany do wszystkich możliwych nagród literackich nowofalowiec nową książkę poetycką publikuje praktycznie rokrocznie. Tylko nadaje już na nieco innych falach. *Stance* to zbiór ośmiowersowych wierszy rymowanych (z drobnymi wyjątkami), opartych na (gdzieniegdzie niedotrzymanym) trzynastozgłoskowcu, zaplątanym, a raczej bezpiecznie wykorzystanym do niesienia, a raczej statycznej prezentacji treści wybitnie prostych i w zamierzeniu ponadczasowych, od miłości do śmierci. Jakby autor zadał sobie pracę domową, ale odrabiając ją, powoli odpuszczał. To nie znaczy, że traci na celności, swego rodzaju aforyzmuowości zwłaszcza w okolicach poszczególnych puent, ale jednak nad tymi (lanymi) wodami unosi się duch zmęczenia materiału. Do przypadku Ewy Lipskiej, najpłodniejszej polskiej poetki (mocno) średniego pokolenia, jeszcze trochę Kronholdowi brakuje; ale niech ta krótka notatka będzie czerwonym światłem w tym coraz głębszym i węższym tunelu jego poetyki.

• **Jan Zapolski,**
Rozejm (Convivo)

Nowe wiersze Jarosława Mikołajewskiego spełniają oczekiwania jego czytelników. Tylko czy mówimy tutaj o wierszach sensu stricto, czy raczej możemy w tym przypadku błędzić w poemacie podzielonym na części, zamykane w silnie za każdym razem zaznaczanym temacie? Pisanie o tej ascetycznej w formie, a otchłannej w treści całości jest zdecydowanie

bezpieczniejsze w postaci pytań.

Czy takie doświadczenie może mieć płec? Jak najbardziej. Jest więc chłopiec i ojciec, chłopiec i rodzina, chłopiec i obsesje, chłopiec i traumy, chłopiec i pierwsze (a może ostatnie?) rozczarowania. Może nawet jakaś zbrodnia, oczywiście liryczna. Jest wersyfikacja rodem z różewiczowskiego klasyku. Może nawet nieco podrasowana, zwłaszcza dzięki obecności mniej oczywistych przerzutni, czasem wręcz nachalnych (wracamy do obsesyjności również na poziomie formy). Ale jest też pewna prawda, czasu i ekranu, oczywiście echa serca. W której te wszystkie odpryski, mniej lub bardziej postrzępione fragmenty doświadczeń się zderzają, sklejają i odbijają od siebie niczym małe magnesy, magazynujące pamięć i tożsamość. To efektowne potyczki, wyzbyte epatowania na krótką metę. I to jest wartość dodana podobnych projektów z pogranicza światów i lęków.

• **Kacper Bartczak,**

Pokarm suweren (Biuro Literackie)

Kiedy Bartczak widzi ścianę, nie próbuje przebijać jej głową tudzież inną częścią ciała, tylko ustawia czytelnika tak, jakby tej ściany nie było; udowadnia jej umowność. Tak po *Wierszach organicznych* jawi się *Pokarm suweren*. Punkty odniesienia zostały zniesione, zaraz po podmiocie, który w twórczości Bartczaka umierał sukcesyjnie od pierwszego wiersza, by na wysokości *Przenicaców* występować już tylko jako (król) duch. Czy da się więc trzy najnowsze książki łódzkiego poety i wykładowcy czytać jako swoistą trylogię o rozpadzie, zaniku i organiczności materii, zwłaszcza tekstu? Da się, nawet nie musząc przyjmować założenia, że każda jej następna część jest we wspomnianej dekonstrukcji bardziej radykalna i dojmująca. Bardziej eko i bardziej org, również w znaczeniu politycznym. To pole, chyba magnetyczne, w całej swojej różnorodności jest stabilne. Pytanie tylko, na ile ten tom sprawdzi się w przypadku lektur bardziej naiwnych, nieustawionych i niedoczytanych obok tych wierszy? I czy w ogóle ma się sprawdzać? Każda wysublimowana nisza prędzej czy później zjada się od środka, a wartością dodaną tej pozarynkowej konsumpcji są podobne gesty krytycznopoetyckie.

• **Łukasz Jarosz,**

Stopień pokrewieństwa (Biuro Literackie)

Co rok to prorok. Kolejny tom (w sumie już numer 11), którego równie dobrze mogłoby nie być. Obawiam się, że Jarosz powiedział już wszystko i pokazał pełny asortyment poetyckich sztuczek w okolicach drugiej książki, a każda następna to już odcinanie kuponów i mniej lub bardziej sprawne wariacje na temat. A to trochę konfesyjności, a to codzienności, jakiś element płynący z nurtem ośmielonej wyobraźni tudzież ponadczasowy trop (trup?) metafizyczny na miarę klasycystów niedoszłych noblistów; jest rodzina, Bóg, honor i mała ojczyzna, jest jakaś wewnętrzna muzyka i harmonia, zakłócana przez nieznaczne, głównie generowane jakby lekturowo, szumy. Autor świetnie się czuje w takiej zonglerce prostymi zdaniami i odniesieniami, bardzo sprawnie operuje powtórzeniem, cytatem i mało efekciarską, wyciszającą puentą. Tylko ten stopień pokrewieństwa jest zdecydowanie za duży. Na tym poziomie literackiego rzemiosła to już rodzaj kaziroddstwa; wyrafinowanego, ale jednak. Jakby to był sport wyczynowy, zaliczanie kolejnych treningów. Ale wokalista Zzajanych Porywaczy Makowców, moim zdaniem, nie wykorzystał jedenastki; co

najwyżej kondycyjnie wytrzymał cały mecz, zakończony bezbramkowym remisem.

• **Joanna Lech,**

Piosenki pikinierów (Forma)

Po zrzuceniu skóry konfesyjnej somatyki i odrzuceniu ośmielonej wyobraźni w metaforyzowaniu (poprzednia książka Lech – *Trans*) w *Piosenkach pikinierów* wracają echa, dźwięki i rytmy, którymi karmiły się wiersze dwóch pierwszych książek autorki *Zapaści*, choć w mniej przewidywalnym wydaniu. Już żaden Rafał Wawrzyńczyk nie stworzy prostego wzoru na wiersz Lech, w którym wystarczy zestawzić przypadkowo kilka abstrakcyjnych pojęć, emocji i części ciała i poudawać, że to część większej znaczeniowo całości, poprzez niedopowiadanie i urywanie myśli w miejscach neuralgicznych, by zbudować napięcie, w którego obwodzie krąży tania i jednorazowa energia. Jeżeli w ogóle będzie pasował jakiś schemat, to w wielu wierszach zbioru da się go wyliczyć w oparciu o układ równań z co najmniej jedną skonkretyzowaną niewiadomą. Więc mamy do czynienia z krokiem w tył po kroku w przód, ale to nie jest to samo miejsce, co wcześniej, bo nastąpiły inne przesunięcia w czasie i przestrzeni. I nie chodzi mi tu tylko o dodatkowe konteksty, budowane przez motta, swoisty soundtrack książki, czy w przypadku remiksów – wskazania, z jakich utworów pożyczka się, w oryginale lub w tłumaczeniu, frazy. Skompromitowana, nie tylko przez Lech, poetyka radosnych epigonów Romana Honeta i Radosława Kobierskiego jakby poszerzyła pole oddziaływania i znalazła nowe ściany, dudniące w rytm puszczanej w tło muzyki środka. Tylko tyle i aż tyle.

• **Radosław Sączek,**

Późny debiut (Doświadczenia z perspektywą / Dla kontrastu)

Późny debiut, czyli dwa w jednym. I już na wstępie muszę zaprotestować podwójnie: 1. To dwa różne projekty, lepiej i skuteczniej zaistniałyby w dwóch osobnych książkach. 2. *Chory rozsądek* w konfrontacji z *Wierszami do biur* wygrywa przez nokaut techniczny, choć nie w pierwszej rundzie. I nie mam tutaj na myśli bezwzględnej słabości projektu korporacyjnego, jego większej od poetyckości piosenkowości, większego sprozaizowania, jego nieco szarpanej dynamiki wersów i zdań, jakby poprzedzielanych dłuższymi pauzami, nieoznaczonymi w żaden sposób, a zbyt wyczuwalnymi przy każdym rodzaju lektury, nawet tym najmniej wnikliwym. Projekt rozsądkowy wygrywa dojrzałością, skupieniem, umiejętniej zastosowanym skrótem i niedopowiedzeniem. Mniej papierowymi pomysłami. Zgrabniej zauwajany językiem, który jakby po opuszczeniu zamkniętych przestrzeni open space'a przestał się dusić i dawać wciągać w klimatyzację. Gdyby *Chory rozsądek* nie istniał, *Wiersze do biur* otrzymałyby większy kredyt zaufania.

Na uwagę zasługują ilustracje na bogato (kolorowe, wręcz jaskrawe!) i obfite posłowie Macieja Płazy, zresztą niejako potwierdzające moje rozpoznanie i przypuszczenia co do różnicy jakości obu części (choć, oczywiście, napisane dyplomatycznie i życzliwie). Szkoda tylko, że zostało tak źle złożone od strony edytorskiej – cała książka w kategorii ładny przedmiot estetycznie na tym traci.

Wszystkie recenzowane książki ukazały się w 2017 roku. ●